

# GONIEC

Z A M O Y S K I



# Redakcja



**HANNA WÓJCICKA**  
REDAKTOR NACZELNA



**MICHAŁ DENIZIAK**  
OPIEKUN REDAKCJI



**AGNIESZKA MITURA**  
OPIEKUNKA REDAKCJI



**ALICJA KRUŻYŃSKA**  
ZASTĘPCZYNI REDAKTOR  
NACZELNEJ



**ALEKSANDRA ZIMOLZAK**  
ZASTĘPCZYNI REDAKTOR NACZEL-  
NEJ, OPIEKUNKA STRON INTERNE-  
TOWYCH



**MAŁGORZATA WARZYWODA**  
GŁÓWNY GRAFIK



**LAURA BIEROZA**  
AUTORKA „NADZIEJA UMIERA OSTAT-  
NIA”, „AKADEMIA MOONLIGHT”,  
„DUNGEONS & DRAGONS: ZŁODZIEJSKI  
HONOR” - RECENZJA, ZDJĘĆ „WIOSNA”



**MARIA JECHNA**  
KOREKTA  
AUTORKA „NADZIEJA UMIERA OSTAT-  
NIA?”, „KULTURALNA WARSZAWA”



**MAŁGORZATA WIŚNIEWSKA**  
OPIEKUNKA STRON INTERNETO-  
WYCH



**ZUZANNA DĘGOZIMA**  
AUTORKA „I NIE BYŁO JUŻ NIKO-  
GO” - RECENZJA,



**ZOFIA KOSTRZEWA**  
GŁÓWNY GRAFIK, AUTORKA  
GRAFIKI DO TEKSTU  
„WYBRANA—PROLOG”

**GOSIA WARZYWODA**  
GŁÓWNY GRAFIK

**FENGARI**  
AUTOR „WYBRANA –PROLOG”

**PRZEMYSŁAW DYLAK  
I MARCELI RUSIN**  
AUTORZY WYWIADU „PARYŻ OCZA-  
MI ZAMOYSZCZAKA”

**KAMILA PERKOWSKA**  
AUTORKA „EXCHANGE YEAR”

**MARIA RZEWUSKA**  
AUTORKA „20 BARDZO CIEKA-  
WYCH FAKTÓW O WYDRACH”,  
GRAFIKI ZAMOYSZCZAKA

**MARIA ZIEMKIEWICZ**  
AUTORKA „NADZOROWAĆ,  
KARAĆ” – WIECZNIE ŻYWA FILO-  
ZOFIA MICHELA FOUCAULT

**KARINA SZUTKO**  
PROJEKT OKŁADKI, AUTORKA  
„RZYMIAŃOWIE I GRECJANIE „

**JULIA WRÓBLEWICZ**  
AUTORKA PRZAEPIŚÓW NA  
MUFFINY I CIASTECZKA

**O**  
AUTOR „BUTELKI”

**ALEKSANDRA SZLACHCIAK**  
AUTORKA GRAFIKI „PARYŻ - MYŚLI  
NIEOGRANICZONE”

**NADIA DAGON**  
AUTORKA WIERSZY : „KWIAT” I  
„TO XXI WIEK”

# Spis treści

---

WSTĘP	<u>4</u>
AKADEMIA MOONLIGHT	<u>5</u>
KULTURALNA WARSZAWA	<u>12</u>
BUTELKI	<u>14</u>
„DUNGEONS & DRAGONS: ZŁODZIEJSKI HONOR” - RECENZJA	<u>20</u>
EXCHANGE YEAR	<u>21</u>
„NADZOROWAĆ, KARAĆ” – WIECZNIE ŻYWA FILOZOFIA MICHELA FOUCAULT	<u>24</u>
„I NIE BYŁO JUŻ NIKOGO” - RECENZJA	<u>27</u>
ZDJĘCIA WIOSNA	<u>28</u>
MOJE MIASTO	<u>30</u>
NADZIEJA UMIERA OSTATNIA	<u>30</u>
KWIAT	<u>31</u>
TO WIEK XXI	<u>31</u>
RZYMIANOWIE I GRECJANIE	<u>32</u>
PARYŻ OCZAMI ZAMOYSZCZAKA	<u>34</u>
PARYŻ - MYŚLI NIEOGRANICZONE	<u>36</u>
GRAFIKA	<u>36</u>
PRZEPISY	<u>37</u>
NADZIEJA UMIERA OSTATNIA?	<u>38</u>
WYBRANA –PROLOG	<u>39</u>
20 BARDZO CIEKAWYCH FAKTÓW O WYDRACH	<u>40</u>
ZŁOTE USTA	<u>42</u>

# Od redakcji

Właśnie mijają ostatnie dni roku szkolnego. Już za moment powitamy wakacje, na które każdy z nas zasłużył. Znow będziemy kolekcjonować młodzieńcze wspomnienia, czerpać z chwil, regenerować umysł i ciało.

W tym numerze dowiecie się, jak funkcjonuje amerykański system edukacji z osobistego doświadczenia członkini naszej redakcji, zeszłorocznej Redaktor Naczelnej. Relacja z podróży do Paryża przedstawi Wam warte odwiedzenia miejsca w mieście miłości i wprowadzi Was w nastrój wakacji. Oprócz tego przeczytacie również artykuł na temat filozofii Michela Foucault, opowiadania i wiersze. Numer klasycznie zwieńczają Złote Usta, których w tym numerze całą społecznością szkolną wyłoniliśmy zwycięzcę!

Kochana Redakcjo, dziękuję Wam za tegoroczną owocną i co istotniejsze - przyjemną współpracę! To było dla mnie wyróżnienie współtworzyć Gońca z tak wartościową grupą ludzi! A Wam, Drodzy Czytelnicy, za lekturę naszej gazety!

Wszystkim nam, w imieniu całej Redakcji Gońca Zamoyskiego, gratuluję tegorocznych (małych i wielkich) osiągnięć i życzę słonecznego (również metaforycznie) lata!

Redakcja wraz z Naczelną,  
Hanną Wójcicką

## KONTAKT:



goniec\_zamoyski



Goniec Zamoyski



goniec.dysk@gmail.com





## Rozdział II - Pierwsza Próba

Akira stała wyprostowana, trzymając pistolet w obu dłoniach. Godziny treningu powoli dały jej się we znaki. Broń znowu wydawała jej się bardzo ciężka, przywodząc na myśl pierwsze dni treningów. Mimo to starała się wycelować w jej wroga – puszkę po fasoli. Całkiem smacznej fasoli wykorzystanej przez jej matkę dzień wcześniej do przygotowania całkiem smacznego obiadu. Po chwili huk strzału przeciął powietrze, a cel spadł ze stosu cegieł. Dziewczyna podeszła do niego i zobaczyła, że choć trafiła w przedmiot, otwór po pocisku znajdował się nieco niżej niż chciała. Zamiast przebić się dokładnie przez środek litery „o” trafiła w jej krawędź. Lekko sfrustrowana, kompletnie nie gotowa, żeby odpuścić, ustawiła puszkę z powrotem na cegłach. Wykrzywione aluminium nie chciało utrzymać się prosto bez ustanku szukając ponownego kontaktu z asfaltowym placem.

– Koniec na dzisiaj, wracamy do domu. – stwierdził Kylar od krótszego czasu obserwując jej poczynania. – Szło ci bardzo dobrze, szczególnie na początku. W ciągu ostatniego miesiąca bardzo się poprawiłaś.

Akira westchnęła lekko i zaczęła zbierać pozostałości po jej treningu. Kylar zawsze uważał, że powinna sama sprzątać po treningach. Pilnował, żeby nie pozostawiała po nich żadnego śladu. Był przekonany, że kiedyś przyda jej się to w życiu i wtedy mu podziękuje. Kiedy skończyła, wsiedli do samochodu i odjechali.

Jej ostatni dzień w Aecor, przed podróżą do stolicy na egzaminy wstępne minął całkowicie na przygotowaniach do podróży. Od rana towarzyszyły jej zarówno ekscytacja, jak i stres. Wiedziała, że dostanie się do szkoły jest bardzo ciężkie, na każde miejsce z listy kandydatów było ponad dziesięciu chętnych. Utrzymanie się w placówce też nie należało do najprostszyc zadań. Z każdego roku co najmniej pięciu uczniów rezygnowało. Na korzyść Akiry działało to, że jako córka dwóch absolwentów i stały członek wielu forów dyskusyjnych nie szła całkowicie w ciemno. Jej wiedza dawała jej jednak tylko zarys tego, co ją czeka - grono pedagogiczne co roku wymyślało nowe sposoby dręczenia wychowanków.

Następnego dnia wcześnie rano, po pożegnaniach z rodziną, wsiadła w samolot. Z łatwością odnalazła swoje miejsce, znajdujące się przy jednym z okien. Opadła na niebieski, zamshowy fotel i chwilę po tym maszyna wzbiła się w powietrze. Ziemia prędko zniknęła w tyle. Dzień zapowiadał się pięknie, na rozświetlonym pomarańczową luną wschodzącego słońca niebie nie było widać ani jednej chmury, więc Akira widziała ziemię nawet na długo po wzbiciu się w powietrze. Odnalazła swoje rodzinne miasto, teraz wyglądające jak model na makiecie, a obok niego gęstą puszcę, do której chodziła po różne zioła. Widziała ciemną plamę zatoki odcinającej stolicę od reszty Vesper. Po czasie jej miejsce zajęły tereny bardziej wyżynne, w końcu zmieniające się w wysokie góry. Pośród ogromnych przestrzeni naturalnych terenów błyskały co jakiś czas jasno oświetlone miasta. Przelot miał potrwać dwie i pół godziny, więc postanowiła wykorzystać ten czas częściowo na czytanie, a częściowo na powtarzanie materiałów na nadchodzący egzamin. W końcu, gdy góry ustąpiły miejsca wyżynom, jej oczom ukazała się stolica Moene – Astrum i, gdy samolot zszedł bliżej ziemi, jezioro Francisa wraz z porośniętą gęstym lasem wyspą nale-

żącą do Akademii.

Gdy opuściła lotnisko, poczuła się nieco zagubiona, choć patrzyła wcześniej na zdjęcia satelitarne i знаła drogę do hotelu. Astrum, w przeciwieństwie do Aecor i jego starszej zabudowy, było całkowicie pełne niebosiężnych, masywnych wieżowców, które przesłaniały teren i znacznie utrudniały nawigację. Mimo wszystko, z dużą pomocą GPSa, dotarła w końcu do swojego hotelu bez potrzeby pytania o drogę. Powitała ją przyjaźnie wyglądająca recepcjonistka.

– Pani na egzaminy do Moonlight, prawda? – zapytała z mocnym, południowym akcentem rzadko spotykanym w tej części świata. Gdy Akira potwierdziła, dodała – Dobrze, że pani zarezerwowała pokój z wyprzedzeniem, już chyba nigdzie nie ma miejsc.

Przekazała dziewczynie klucz, na pożegnanie życząc jej powodzenia.

Pokój hotelowy nie był ani niezwykle przestronny ani luksusowy, ale nie był też niewygodny. Znajdowały się w nim tylko podstawowe, tanie meble w odcieniach bieli i szarości – jednoosobowe łóżko, szafka nocna, szafa i biurko. Poza tym wyposażony był w małą łazienkę i balkon.

Akira ustawiła swoją walizkę przy łóżku i wyjęła z niej elektryczny czajniczek. Szybko wstawiła wodę na herbatę. Miała nadzieję, że ulubiony napój pomoże jej się trochę zrelaksować przed egzaminem. Wyszła na balkon i odkryła stojące na nim wiklinowe krzesło. Usiadła na nim i wyjrzała za barierkę. Zobaczyła mały, ukryty między blokowiskiem park pod wyjątkowo błękitn (*czegoś tu brakuje?*). Delikatny, chłodny wiatr sprawiał, że wysoka temperatura wydawała się bardziej znośna. Astrum było znacznie głośniejsze i większe od jej rodzinnego miasta, ale całkiem jej się podobało. Przeszło jej nawet przez myśl, że mogłaby tam zamieszkać.

Wyjęła z przyniesionej z pokoju kopertę z listem i wyjęła go z koperty.

*„Szanowna Pani, Akiro Hayashi,*

*pragniemy poinformować, że zakwalifikowała się pani na listę kandydatów do Drugiej Akademii Walki imienia Francisa Moonlight. Egzaminy wstępne odbędą się w dniach 25 czerwca w Astrum (dystrykt Moene). Egzamin teoretyczny rozpocznie się o godzinie 8.00 w Gimnazjum Ogólnokształcącym nr 3 imienia Alricka Courtenaya przy ulicy Porozumienia Marcowego, natomiast egzamin praktyczny rozpocznie się o godzinie 14.00 na stadionie przy Alei Zjednoczenia.*

*Zarząd Drugiej Akademii Walki imienia Francisa Moonlighta”.*

Z wnętrza pomieszczenia dobiegło ciche kliknięcie. Akira wstała i weszła do środka. Wrzuciła torebkę herbaty do plastikowego kubka i zalała ją wodą. Odczekała chwilę aż napój się zaparzy, po czym wyrzuciła torebkę i wypila parującą herbatę. Napój był bardzo gorący, ale to jej nie odstraszało. Tak smakował najlepiej, a ponieważ ogień był integralną częścią jej duszy, nie musiała się martwić o poparzenia.

Gdy skończyła pić, opuściła pokój i pojechała zatłoczonym pociągiem w kierunku pierwszego punktu swojej wesołej podróży.

Gimnazjum Courtenaya było równie imponujące, co gimnazjum Franklanda. Czyli wcale. Liceum stolicy było monumentalną, brutalistyczną, ciężką bryłą z kremowoszarą elewacją i niewielkimi oknami. Akira weszła do środka i niemalże natychmiast zauważyła

drogowskazy kierujące ją na salę egzaminacyjną dla uczniów z dystryktu Vesper.

Zanim weszła do ostatniego korytarza, zatrzymała ją siedząca przy biurku kobieta, prawdopodobnie człowiek.

– Nazwisko i dowód osobisty? – powiedziała kobieta patrząc gdzieś w kierunku dziewczyny, ale nie na nią. Jej spojrzenie przelatywało gdzieś nad jej prawym ramieniem, jakby przypatrywała się czemuś parę kilometrów za oknem.

– Lancaster-Hayashi Akira. – dziewczyna wyciągnęła z torebki potrzebny dokument.

– Lancaster... Hayashi... Akira... – powtórzyła kobieta, a jej nieobecny wzrok przeniósł się z okna na listę. Przesunęła skuwką długopisu po imionach uczniów, wreszcie odnajdując Akirę. Otworzyła leżący na biurku gruby segregator i dość szybko (przynajmniej jak na jej dotychczasowe tempo) odnalazła i podsunęła dziewczynie kartkę. – Dane się zgadzają?

Akira spojrzała na obiekt przed nią. Na papierze nadrukowane były słowa:

Imię i nazwisko: Akira Lancaster-Hayashi

Pochodzenie: Aecor, Vesper

Wiek: 16 lat (data urodzenia: 21.06.2014)

Rasa: hybryda (75% demiurg, 25% smok)

Zdolności magiczne: pirokineza

Preferowana broń: Dwa miecze bastardowe; sztylety; noże do rzucania

Akira potwierdziła, a kobieta za biurkiem wskazała jej schody.

Przed wejściem do pomieszczenia stał cały tłum, ale żadnej znajomej twarzy. Prawdopodobnie Jonathan już tam był, ale zniknął między osobami dużo wyższymi od niego, a Akira nie miała specjalnej ochoty wciskać się w gęsty tłum, żeby go szukać. Postanowiła sobie, że spotka się z nim, kiedy już wyjdą z sali. Zresztą znając go i tak nie miałby ochoty na rozmowę – stał ściskany przez innych kandydatów i bardzo próbował czytać notatki ze wszystkich przedmiotów, które na pewno zrobił przed wyruszeniem do stolicy. Akira wykorzystała tę chwilę, żeby odłożyć przedmioty osobiste do jednej z szafek.

Zawsze myślała, że podejdzie do tych egzaminów z Nancy. Poznały się w pierwszej klasie, kiedy zostały sparowane na zawody i od tej pory robiły praktycznie wszystko razem. Potrafiły spędzać całe dni na wspólnych treningach. Akirze wydawało się, że jej przyjaciółka też myśli o Moonlight, ale parę miesięcy przed końcem roku Nancy znalazła jakiegoś prywatnego, indywidualnego trenera i straciła zainteresowanie tematem.

Po krótkiej chwili stania w korytarzyku zaczęli ich wpuszczać na salę. Każdy miał już przypisane do siebie miejsce. Akira wylądowała tuż przy ścianie we względnym cieniu. Tynk dawał przyjemny chłód, więc, patrząc na osoby siedzące, była na uprzywilejowanej pozycji. Instruktorzy rozdali im arkusze egzaminacyjne i zaczęli pisać.

Pytania były dość trudne, ale nie niemożliwe do rozwiązania. Wszystkie były zamknięte, z pięcioma potencjalnymi odpowiedziami, co bardzo usprawniło proces spraw-

dzania. Dzięki temu rezultaty starań uczniów z całej Unii mogły być ogłoszone bardzo szybko.

Proces rekrutacji do Akademii był dość skomplikowany i wieloetapowy, miał zapewnić, że do szkoły dostawali się tylko najlepsi. Żeby w ogóle dostać się na listę kandydatów, należało mieć kilka rekomendacji i najlepiej jakieś znaczące osiągnięcia w turniejach, a także załatwić sobie wiele potwierdzeń zdrowotnych. Na listę kandydatów trafiało tylko trzysta osób. Po egzaminach teoretycznych ta liczba spadała o połowę. Odbywające się tego samego dnia egzaminy praktyczne ucinają jeszcze pięćdziesiąt osób, zostawiając równo sto nowych uczniów.

Wybiła godzina dziesiąta, kiedy kandydaci wreszcie zostali wypuszczeni z sali egzaminacyjnej. Akira była przede wszystkim głodna. Gdy tylko dopadła do szafki, wyciągnęła z niej drugie śniadanie – kupioną na lotnisku paczkę ciastek i termos z cudownie zimną herbatą. Do ogłoszenia wyników miała pół godziny – za dużo jak na przerwę na jedzenie i za mało jak na spacer. Zgodnie z wcześniejszym postanowieniem postanowiła odszukać Jonathana. Znalazła go siedzącego na ławce i rysującego długopisem w notatniku. Gdy usłyszał jej kroki, odłożył przybory do rysowania, pozostawiając widoczną stronę, na której piękna smocza księżniczka w długiej sukni wpadała w ramiona przystojnego księcia w zbroi. Akira rozpoznała ich jako bohaterów „Ballady o Wiecznej Nocy” – książki, którą oboje ostatnio czytali.

– Jak ci poszły egzaminy? – zapytała przysiadając się obok niego

– Pytanie jedenaste było straszne... nienawidzę tłumaczeń.

Pytanie jedenaste dotyczyło tłumaczenia zdania: „Annie nie dała rady zrobić naleśników zanim jej mąż wrócił do domu”, z języka Unijnego na język Republiki Federalnej Wysp Hesperyd. Do zdania testu była potrzebna dość dobra znajomość wszystkich trzech języków Nowego Świata. Akira miała wyjątkowo ułatwione zadanie. Jej matka pochodziła zza morza i dołożyła wszelkich starań, żeby Akira mogła porozumieć się z jej rodakami.

– Dla mnie najgorsze było pytanie dwudzieste siódme. Nie cierpię fizyki.

– Nie cierpisz fizyki czy nie cierpisz sposobu, w jaki pani Robin tłumaczy fizykę?

Akira zastanowiła się chwilę, po czym stwierdziła:

– Chyba tego drugiego. Kto wie, może w akademii trafi nam się jakiś wybitny fizyk z powołania.

– O ile dostaniemy się do akademii.

– Jasne, że się dostaniemy! – Akira uśmiechnęła się - Jesteśmy wspaniali.

– Obyś miała rację.

Wtem zadzwonił dzwonek oznajmiający ogłoszenie wyników. Przed wejściem do hali egzaminacyjnej, ta sama „nieobecna kobieta” z biurka rozwiesiła listę od najlepszych wyników do najgorszych. W połowie przecinała ją gruba, czerwona kreska oddzielająca przyjętych kandydatów od nieprzyjętych. Na pierwszym miejscu znajdowała się osoba imieniem „Beatrice Austin”, po nazwisku sądząc arystokratka, jedyna z wynikiem 100%. Jej nazwisko brzmiało znajomo – nosił je jeden z arystokratów unijnych. Akira znalazła się na miejscu piątym z wynikiem 92.8%. Musieli jej odjąć punkty za tę przeklętą fizykę. Dzieliła



je z kolejnym na liście arystokratą – „Salilem Ravinderem Singhiem”. Jonathan był nieco niżej, na miejscu 27. Prawdopodobnie uczył się tyle co Akira, ale stres egzaminów zawsze paraliżował go do tego stopnia, że miał problemy z przypominaniem sobie czegokolwiek.

Szczęśliwi, że oboje zdali, poszli zjeść obiad do znajdującej się tuż za rogiem małej, cichej restauracji zrobionej wedle wschodniego wyobrażenia kultury Wysp. Akira, częściowo wychowana za morzem, nie mogła nie zauważyć, jak bardzo twórcy menu pomieszalili unikalne kultury każdej z siedmiu wysp. Przynajmniej ich dzieło było całkiem dobre.

Po obiedzie zwiedzili trochę stolicę. Zobaczyli starówkę oraz siedzibę parlamentu z charakterystycznym pomnikiem jedyne go króla Moene – generała Courtenaya. W końcu przeszli na stadion. Lokalni uczniowie już byli w trakcie egzaminów praktycznych, ale ci pochodzący z Vesper mieli na późniejszą godzinę. Czekali na swoją kolej w dość ciasnym, wąskim korytarzu prowadzącym na boisko. Pachniał intensywnie – nie brzydko, ale drażniąco. Mocnym, cytrynowym odświeżaczem powietrza. Jonathan opuścił go dość szybko – jego nazwisko zaczynało się literą „B”, więc był na samym początku ułożonej alfabetycznie listy. W takich chwilach Akira żałowała, że nazwisko jej ojca znajdowało się przed nazwiskiem jej matki. Gdyby nazywała się „Hayashi-Lancaster” szybciej mogłaby wrócić do siebie. W końcu jednak słowa, na które tak czekała zostały wyczytane:

– Panna Lancaster-Hayashi Akira!

Wyszła przez ciężkie, metalowe drzwi na arenę, mrużąc oczy w jaskrawym świetle popołudnia. Kwadratowe, betonowe podłoże otaczały ze wszystkich stron wysokie trybuny z osobnymi miejscami dla odzianych w ciemnogrnatowe mundury członków Srebrnej Gwardii, którzy dbali, by potwory nie wymknęły się spod kontroli. W miejscu przeznaczonym dla sędziego siedziało teraz kilku nauczycieli, ale byli zbyt daleko, by Akira była w stanie dostrzec jakiegokolwiek cechy ich wyglądu.

Dwóch gwardzistów zamknęło za nią szczelnie drzwi do korytarza. Okratowana brama tuż pod budką sędziego powoli powędrowała w górę. Ze środka dobiegł cichy odgłos stukania, w ciemności rozjarzyło się sześć par czerwonych oczu. Powoli z ciemności wysunęły się długie, ostre szczypcy, za którymi wynurzyło się pokryte czarną chityną ciało i odnóża, a na końcu długi, zakrzywiony ku górze ogon zakończony ciężkim, masywnym żądłem. Skorpion początkowo wydawał się zdezorientowany – prawdopodobnie wyczuwał wokół siebie wiele, wiele dusz, zarówno strażników, egzaminatorów i stojącej przed nim dziewczyny. Nie czekając aż wyznaczy cel, Akira pomknęła w jego kierunku z rozgrzanym do czerwoności mieczem. Stworzenie zablokowało cios szczypcami, ale to nie zatrzymało jej na długo. Unikając ataku żądłem, dziewczyna zatopiła końcówkę jednego z mieczy między płyty jego pancerza. Czuli się dużo pewniej niż podczas walki w lesie ostatniego dnia szkoły – była dobrze przygotowana i skupiona jedynie na pokonaniu przeciwnika, zresztą nieco słabszego niż tamten wąż. Nie znaczyło to jednak, że pokonanie go miało być prostym zadaniem.

Ledwo uskoczyła przed zaciskającymi się szczypcami. Odbiła się od ziemi, ostrze jednego z mieczy błysnęło w słońcu zanim rozcięło głęboko ogon, tuż nad żądłem. Obrażenia sprawiły, że potwór stał się bardziej agresywny. Atakował teraz znacznie szybciej, dając jej mało czasu na reakcję, lecz mimo niebezpieczeństwa trzymała się blisko potwora. Gdy jedno z odnóży pomknęło w jej kierunku, przebiła je mieczem. Ostrze zagłębiło się w sztuczną trawę. Potwór szarpnął się, próbując uwolnić odnóżę, lecz Akira była szybsza. Sięgnęła po jeden ze swoich drobnych sztyletów, natychmiastowo rozgrzała go i wyceLOWAŁA. Potwór szarpnął się jeszcze raz, próbując dosięgnąć ją drugim odnóżem. Wzięła

głęboki oddech. Musiała działać szybko i dokładnie. Od następnego ruchu zależał cały jej plan. Srebrne ostrze świsnęła w powietrzu, przebijając ogon i odcinając żądło. Opadło, przygważdżając tors potwora do ziemi. Wystarczył jedynie szybki cios pozostałego jej miecza, by rozproszyć magię i sprawić, że przeciwnik obrócił się w pył.

– Dziękujemy, możesz odejść. – usłyszała głos z głośnika. Jego ton nie zdradzał żadnych emocji.

Gwardziści otworzyli metalowe drzwi, podobne do tych, którymi weszła, ale po drugiej stronie. Korytarz za nimi był całkiem pusty, z wyjątkiem paru osób, które prawdopodobnie czekały na swoich przyjaciół, rodzeństwo czy dzieci. Jonathan, zgodnie z jej oczekiwaniami, poszedł już do hotelu. Odebrała swoje przedmioty osobiste przy wyjściu. Nie wiedziała, czy zdała, choć uważała, że poszło jej dobrze. Oficjalną listę uczniów na następny semestr w akademii mieli ogłosić dopiero wieczorem. Ogarniał ją spokój, jakiego jeszcze nie zaznała tego dnia. Wyszła z terenu stadionu na skąpaną w złotych promieniach zachodzącego słońca ulicę. Jeszcze rano to miejsce wydawało jej się całkowicie obce. Teraz jednak wiedziała którądy powinna iść, by trafić z powrotem do hotelu. Wyjęła stare, czarne słuchawki z torebki i włączyła jedną ze swoich ulubionych piosenek. Jej spokojna melodia i słowa wymawiane w języku brzmiącym jak bardzo stary dialekt z Unii towarzyszyły jej odkąd była dzieckiem. Pamiętała, że jej matka puszczała ją kiedyś zawsze, gdy pracowała w przy wyrabianiu leków. Akira, wówczas nie do końca rozumiejąca słowa wymawiane z tak silnym akcentem, zapytała ją, o czym jest. Jej matka odpowiedziała wtedy, że opowiada o kobiecie, która czeka aż jej mąż wróci z dalekiej podróży za ocean. Akira nie rozumiała wtedy, czemu ktokolwiek płynąłby za ocean, skoro nie ma za nim nic poza opuszczonymi ruinami upadłych cywilizacji, potworami i śmiercią. Dowiedziała się wtedy, że przed wielką wojną prawie każdy z siedmiu kontynentów był zamieszkały, a potwory nie istniały. Na pytanie czy kiedykolwiek będzie można wrócić do tak zwanego „Starego Świata”, usłyszała odpowiedź, że „na pewno nie w tym stuleciu”. Bardzo ją to wtedy zmartwiło. Teraz podchodziła do kwestii ewentualnego zamieszkania innych kontynentów bardzo neutralnie. Nie potrzebowali tego – jak na razie Kontynent mógł pomieścić całą cywilizację, a terytorium cywilizowane z roku na rok się zwiększało.

Kiedy dotarła do hotelu, z jej myśli praktycznie całkiem zniknęła sprawa egzaminu. Weszła do dość starej windy i wybrała przycisk na piątą, ostatnie piętro. Weszła do pokoju, niedbale zrzuciła buty i wyszła na balkon. Niebo było już koloru ciemnoniebieskiego atramentu. Wokół niej rozbłysły światła wieżowców, niemal całkowicie zagłuszające gwiazdy. Widoczny był jednak ostry sierp księżycy. Pod jej stopami, ulicą przemykały samochody błyskające żółtymi reflektorami. Ich dźwięki docierały do niej, mimo odległości, która ich dzieliła. Astrum ewidentnie nigdy nie zasypiało.

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk powiadomienia z telefonu. Weszła do środka i spojrzała na ekran. Pochodziło z poczty elektronicznej. Żeby do niego dotrzeć musiała przewinąć kilka wiadomości od jej rodziny i przyjaciół z powodzeniami i pytaniami o to, jak jej poszło. Wreszcie znalazła maila z nagłówkiem „OFICJALNA LISTA UCZNIÓW AKADEMII NA ROCZNIK 2030/2031”. Minęła nazwisko „Bishop Jonathan”, odnalazła uczniów na literę „L”. Między „Kavka Irina” a „Monroe Ophelia” znajdowało się jedno, jedyne nazwisko: „Lancaster-Hayashi Akira”.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko. Długo wpatrywała się w ekran, nie wierząc do końca w to, co widzi. Kiedy jej emocje nieco opadły, zabrała się za odpisywanie swoim bliskim. Musiała przekazać im dobre wieści.

### Rozdział III - cienie przeszłości

Książę Ivan Courtenay na pozór wiódł szczęśliwe życie. Był bogatym, szanowanym arystokratą, mieszkał w ogromnym penthousie otoczony służbą. Każdego dnia miał dostęp do luksusów, o których większości obywateli nawet się nie śniło. Nigdy nie musiał ciężko pracować, fabryka broni, którą odziedziczył, przynosiła wystarczające zyski.

A mimo to nie był szczęśliwy, nieważne, ile posiadał. Jego umysł już od dawna ogarniała całkowita, zagłuszająca wszelkie inne emocje apatia. Spędzał dni, przesiadując w swoim penthousie w Moene, praktycznie nie wychodząc na zewnątrz dopóki nie musiał, zadowolając się spokojną, powtarzalną rutyną.

W dniu egzaminów wstępnych do Drugiej Akademii Walki, zajął miejsce przy komputerze stanowiącym często jego jedyne okno na świat. Monitor rzucał niebieskawe światło na ciemny pokój utrzymany w porządku tylko dzięki staraniom służących. Wyświetlał transmitowaną na żywo walkę jednej z uczennic na arenie. W udziale przypadł jej potwór podobny do ogromnego kruka, z ostrymi niczym miecze pazurami i mocnym, zakrzywionym dziobem. Wpatrzony w ekran mężczyzna dokładnie oceniał każdy jej ruch, krytycznie przypatrując się jej poczynaniom.

„Nie zawieź mnie, Vivienne!” – nakazał jej w myślach.

Spojrzał na zdjęcie stojące obok komputera. Znajdował się na nim on i jego żona w dniu ślubu. Mimo że jako demiurg kompletnie się nie zestarzał, na zdjęciu wydawał się parę lat młodszy. Tragedia, której doświadczył, na zawsze odcisnęła ślad na jego wyglądzie. Był bladej i dość chudy jak na kogoś o jego statusie majątkowym, praktycznie nigdy się nie uśmiechał, a jego oczy zawsze miały ten sam, niezmienny, smutny wyraz. Równie niezmienna była żałoba, w której trwał nieprzerwanie od czterech lat.

Vivienne wykonała skomplikowany podskok połączony z obrotem w powietrzu, przecięła stworzoną z lodu bronią bok potwora, po czym dobiła go szpadą. Przeciwnik po chwili obrócił się w pył.

Mężczyzna podniósł się z wygodnego fotela i podszedł do okna. Na maszt na rynku Astrum już wciągali flagę unii. Jacyś robotnicy wspinali się po drabinach na latarnie, by dekorować ulicę kwiatami i wstęgami. Mieszkańcy zapalali świece pod pomnikami. Szukowali się do obchodów rocznicy zamachu na unijnych dyplomatów w Gealach. Tragedii, która odebrała mu jego ukochaną Elizabeth.

Zaciągnął kotary. Nie brał udziału w uroczystych rocznicowych pochodach. Odczytywanie nazwisk ofiar zawsze otwierało stare rany, czego zdecydowanie nie potrzebował. Na co dzień, jego służący mieli kategoryczny zakaz mówienia czegokolwiek, co przypominałoby mu o Elizabeth, czy o zamachu.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Wejdz – powiedział Ivan

Do pokoiku wszedł elegancko ubrany służący.

– Pod drzwi budynku podeszli dziennikarze od jakiegoś filmu dokumentalnego. Proszą

o komentarz na temat rocznicy.

– Powiedz im, że nie mam zamiaru z nimi rozmawiać! Jeśli trzeba, wezwij ochronę.

– Tak, panie. – opuścił pokój.

Ivan spojrzał półprzytomnym wzrokiem na zamykające się drzwi, po czym westchnął i ukrył twarz w dłoniach. Był słaby i doskonale o tym wiedział. Mógł ukrywać to przed innymi magnatami, ale nie przed sobą.

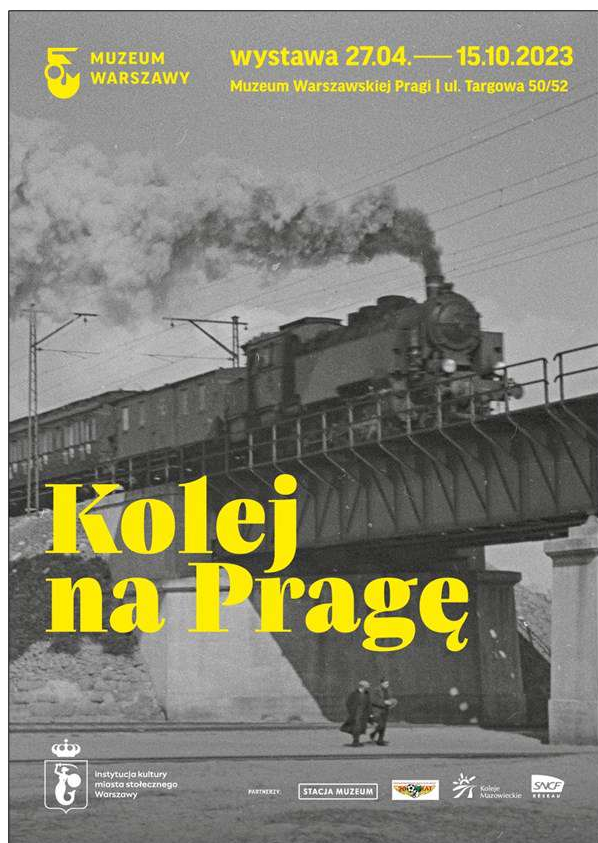
Odwrocił głowę, by ponownie spojrzeć na zdjęcie ślubne. Elizabeth jak zawsze patrzyła na niego z uśmiechem. Spojrzenie jej wesołych, intensywnie niebieskich oczu było dla niego przytłaczające. Obrócił zdjęcie tyłem.

Nie chciał, by patrzyła na jego słabość.



## Kulturalna Warszawa - Muzeum Warszawskiej Pragi

Maria Jechna



### MUZEUM WARSZAWSKIEJ PRAGI

(ul. Targowa 50/52)

**Wystawa „Kolej na Pragę”** (do 15 października 2023)

To opowieść o dworcach i liniach kolejowych, kolejarzach i pasażerach, którzy z nich korzystali, i Pradze, która rosła wokół torów. Prześledzimy tu historię kolei na prawobrzeżnej części miasta, zobaczymy fotografie, rysunki, nietypowe bilety (np. na Kolej Konną) czy skrzynie podróżne rodziny Różyckich. Posłuchamy także nagranych opowieści kolejarzy m.in. z okresu II wojny światowej. Wystawa umożliwia poznanie realiów podróży w dawnych czasach - dowiemy się, co do kufrów pakowały eleganckie damy, jak ubierali się XIX-wieczni kolejarze oraz jak wyglądał kiedyś przedział I klasy.

Muzeum możecie odwiedzić:

wt., śr. i pt. 9:00 – 17:00

czw. 9:00 – 18:00

sb. i nd. 10:00 – 18:00

W czwartki wstęp jest bezpłatny.



Więcej informacji:

<https://muzeumpragi.pl/wystawa/kolej-na-prage/>





Śmierć Babci Celi była jak zamknięcie książki, której wątki łączą się pod samą okładkę jak elementy przepięknej, misternej układanki mistrza i w sposób niesamowicie spektakularny zwieńczają opowieść będącą dziełem niepojętego geniuszu. Za sobą zostawiła potężne dziedzictwo, pamięć i — co najważniejsze — testament, umożliwiający całej rodzinie Kamieńskich zjadać z ręki nieboszczki jeszcze lata po spuszczeniu ciała w białej trumnie. Dwa sosnowe skrzydła modelu amerykańskiego zakryły uśmiechniętą tajemniczo siną twarz, co potraktowano jako ostateczne zasłonięcie oczu babcinych, by uchronić ją przed widokiem okropieństw, jakie rodzina miała już bez niej dokonać. Przez lata następne księgi rodzinne otwierały się i zamykały, niemal zupełnie zakrywając przeszłość, lecz wreszcie przewrócono wystarczającą liczbę stron, aby osoby postronne mogły wyczytać treść ukrytą między wierszami Kamieńskiego eposu.

W rodzinie nie tyle ogłoszono, co pozwolono nastać stanowi nadzwyczajnemu. Pod wpływem nieodgadnionej, magicznej siły po cichu opuszczono dotychczasowe zajęcia i zajechano tłumnie do rodowej rezydencji, otworzono okna na oścież, aby wpuścić świeżego powietrza, a zaraz potem je zamknięto — te, które się dało, na rygle. Natychmiast rozsłano wiadomości, aby wszyscy najdalsi krewni stawili się na zjazd rodzinny możliwie najszybciej.

Nie dostałem się do elitarnego kręgu pierwszych przybyszów czy raczej w niego nie wszedłem, zdecydowałem się jednak przyjąć zaproszenie. Na ogół starałem się unikać rodziny i nienawidziłem siebie za ciągłe wracanie się do niej po żalonych próbach ucieczki, lecz w tej sytuacji miałem wybór między opcjami złą i gorszą, a ta właśnie była dla mnie zła.

Wysiadłszy z rannego autobusu, poczułem się dziwnie. Naraz uderzyły mnie piękne, doniosłe wspomnienia z dzieciństwa oraz uczucie najzwyczajszego, przyziemnego obrzydzenia. Okolica, delikatnie mówiąc, nie należała do najładniejszych, o czym właśnie przekonywałem się ponownie.

Kamień przez lata zbliżył się do wszystkożernej metropolii, chociaż wcale się nie poruszał. W obliczu drapieznika stał niewzruszenie, zupełnie jak jego patron, i oglądał, jak przemieniwszy się właśnie z folwarku w opuszczoną wieś staje się miejscowością turystyczną. Rozrósł się obrzydliwie, niczym przyszc na tłustej, nieumytej twarzy, żeby pewnego lata wyprysnąć, spektakularnie wyrzucając łój w górę. Miasto wycofało z odrazą swe macki, widząc, jak urocza destynacja wakacyjna podupada i wraca do stanu najzwyczajszej opuszczonej prowincji. Jedyna linia kolejowa wozila w soboty puste wagony, działki budowlane bez słodkich uśmiechów pachnących wódką stawały się na powrót rolnymi, a latarnie z przepalonymi żarówkami zajęły na wyłączność bocianie gniazda. Los chciał, aby największa rodzina w kraju stacjonowała w samym środku niczego.

Po krótkiej wędrówce chodnikiem podziurawionym przez zielsko dotarłem pod budynek o całą kondygnację wyższy niż sąsiednie i o wiele lepiej się prezentujący. Za drzewami stał dwór pamiętający czasy szlacheckie, wiele renowacji, zmiany stylów architektonicznych w zależności od mody i upodobania, wojenne bombardowania, podnoszenie o całe jedno piętro, a przede wszystkim niezliczone zmiany w sąsiedztwie. Serce Kamienia, noszące znamiona wszystkich tych wydarzeń, pozostawało w swój niezmierny sposób

cludownym, fantastycznym miejscem budzącym tęsknotę do tego, czego nikt nie może doświadczyć, a co istnieje w każdym. Oczy i dusze oglądające resztę wsi na widok jego odczuwały ulgę — wreszcie widziały budynek, któremu spod brudu widać elewację, nareszcie konstrukcja, która nie przeczy wszelkim zasadom estetyki, tu jest raj, tu tylko jest prawdziwy dom.

Na mnie i pozostałych przybyszów czekały dwa samochody stojące tuż za bramą i dwa schowane dalej za nimi. W garażu zapewne stało ich dwa razy więcej. Śmietnika strzegł stary Anubis zasiadający dystyngowanie na ogrodzeniu obok. Roztaczał aurę zepsucia łamiącą urok pięknego miejsca, jako jedyny przypominał, że idylliczny obrazek kryje zgniliznę tak głęboko rozprzestrzenioną, że przeciętny obserwator nie zdołałby sobie wyobrazić choćby niewielkiego ułamka jej ogromu. Odprowadził mnie do drzwi przenikliwym wzrokiem każdego kota, jaki zajmował w przeszłości jego miejsce.

Jadalnia przedstawiała się nadzwyczaj przygnębiająco. Jako ostatni z wchodzących zamknąłem za sobą drzwi, tym samym zabierając słońcu prawo wstępu przez zasłony. Zapach gotowanych z miłością obiadów wyparł doszczętnie i nieodwracalnie zapach tytoniu, krzątanie wokół talerzy posłała w zapomnienie grobowa powaga i osobliwe skostnienie. Stół wyznaczał centrum pokoju — miejsce przy nim stanowiło o statusie w hierarchii. Na szczycie zasiadał najstarszy z grona Dziadek Tymoteusz Kamieński, jedyny obecnie stały mieszkaniec rezydencji, podpierający opadającą głowę sfatygowanymi dłońmi o powyginanych palcach. W pozostałych rozpoznałem ciotkę Albertynę, jak zawsze ze zbyt różowymi policzkami, Wuję Piotra nerwowo skaczącego oczami po twarzach, który natychmiast odwrócił wzrok, spostrzegłszy mnie w progu, Wuję Ignacego z zabliznioną od nieumiejętnego golenia brodą, Stryjka Patryka Beniamina, tego dnia wyjątkowo zajmującego miejsce starszego imiennika, który z powodów zdrowotnych nie mógł przybyć. Przyjął ten honor z jak zwykle obojętnym obliczem i melonikiem przylutowanym do głowy. Olka z Marleną, zaskakująco spokojnych Kasię z Michałem i małym Gustawem na kolanach Borysa z nowym implantem w miejsce wybitego zęba i pozorną żądzą mordy w oczach — z całego Kamieńskiego plenum to on dorobił się opinii spokojnego, życzliwego człowieka.

Pod ścianą, nad krzesłami i przy kominku stali inni krewni z drugiej tury wyborów, ci mniej ważni, ale tylko trochę. Pośród nich dostrzegłem kuzynów dalszych stopni nieznanych mi bliżej. Większość z nich musiała przyjechać zza granicy. Niemal każdy przywdział elegancką czerń, stanąłem więc w czerwonej bluzie najdalej od środka, jak tylko mogłem, aby widzieć Dziadka, jednocześnie modląc się, żeby Dziadek mnie nie zauważył. Porozumiewano się tylko kieliszkami, nie zwracając uwagi na obecność małych dzieci i wczesną porę. Między zgromadzonymi zatańczyły zapalniczki.

Wszyscy jednakowo przypatrywali się blatowi stołu, w krótkich interwałach uzupełniając sobie bez większego entuzjazmu kieliszki tym trunkiem wyciągniętym ze skromnej kolekcji Dziadka, jaki akurat mieli pod ręką. Testament, ten właśnie, który zapewnił nam przejście babcinego imperium i wyższy poziom życia, leżał teraz w samym centrum, tam gdzie zawsze był dla nas. Dla zgromadzenia nie miał obecnie innego znaczenia niż symboliczne, nie można jednak powiedzieć, że dokument ten to degraduje. Święta Księga Kamieńskich, zajmująca honorowe miejsce na ślubach i zlotach podobnych temu, cieszyła się najwyższą czcią. Dotąd nie kwestionowano osobliwych zwyczajów z nią związanych.

Dziadek położył prawicę na skórzanej oprawie, przysunąwszy ją, a razem z nią każdą żrenicę w pokoju nań leżącą. Przybrał na twarz surowy grymas mistyka, który podpa-

trzy lata temu od proboszcza diecezji kamieńskiej. W słabym świetle przebijającym przez obłoki niby kadziłowego dymu wyglądał jak celebrans Triduum Paschalnego, w wyuczonym już na pamięć obrzędzie prowadzącym do ostatecznego ogłoszenia wiernym zmarłych wstania. Zauważyłem po fakcie, jak nieświadomie przysunęliśmy się bliżej.

— Wisi nad nami topór zagłady. — Tymoteusz zaczął. Donośny głos zamroził naraz wszystko wokół. Nikt nie ośmielił się odezwać. — Nasz rodzinny interes został wydany. Przez jednego z nas, jak przypuszczam. — Długa pauza. Słowa wzleciały pod sufit z dymem. — W każdej chwili możemy zostać zdemaskowani. Jeżeli do tego dojdzie, musimy być przygotowani na najgorsze.

Powaga sytuacji nie docierała wówczas do końca do nikogo. Przez lata żyliśmy w cieniu Babci, skrzętnie chowającej dowody i dbającej o dobre imię i jedynomyślność rodziny. Bez niej zagłada domu z niewyobrażalnego stała się kwestią czasu. Diamentowy Pałac — duma rodowa, ogromne przedsięwzięcie biznesowe stojące na wieloletnich kłamstwach i subtelnie popełnionych przestępstwach — od sprzedawania na boku mięsa bez kartek, aż po ciche eliminowanie niewygodnych w polityce osobistości. Każdego z Kamieńskich dało się połączyć z lożą diamentową, czy to przez publicznie podpisywane układy, czy przez te zawierane pod stołami. Nawet, jeśli więzienia niektórym uda się uniknąć, skazy na imieniu nie mogłoby zmyć już nic, a to duma i pamięć rodzinę motywowała najskuteczniej, lepiej nawet niż pieniądze. W kilku coraz bardziej gęstniejących minutach uderzyła w nas ta rzeczywistość, ta, której chcieliśmy się wyprzeć w drodze do Kamienia. Liczne na początku sztuczki oratorskie Dziadka opuściły przemowę, a głos jego ze zdecydowanego powoli przechodził w słaby, cichy. Zdawało mi się, że z całych sił próbuje zapobiec jego nagłemu złamaniu.

— Tak wygląda nasza sytuacja. — Przemowę zakończył tonem znacznie niższym, niż ją rozpoczął.

Słowa i dym tytoniowy zastygły w nieomal zawiesistym powietrzu pod sędziwym, drewnianym stropem, zapanowała nad pomieszczeniem niezłamana cisza. Ciężar zrozumienia przycisnął siedzących głębiej w krzesła, stojący zamarli ze wzrokiem utkwionym tępo tam, gdzie patrzyli minuty, kwadranse temu, jakby przez lzy próbowali dosięgnąć okiem naszej Księgi Świętej, a przez nią zadać Babci pytanie: „Co teraz?”. Całym pokojem rządził stan kataleptycznego zawieszenia. Jedyną rzeczą pozostającą w ruchu była flaszka.

Ciszę złamał Patryk Beniamin, zrzucając maskę obojętności.

— Skandal na skandalu. — Głos załamał się w pół zdania. Schował twarz w dłonie. — Taka będzie nasza spuścizna.

— Napij się jeszcze, tato. — Siedząca obok Marlena z troską podsunęła teściowi pustą już niemal butelkę. Ten bez nalewania przystawił usta do szklanej szyjki i wypił całą zawartość. Idea kulturalnego picia z umiarem odeszła wraz z nadzieją.

Oczywiste było, że to lepiej, niżby mieli wiedzieć wszystko. Oczywiste też było, że do tego wszystkiego wkrótce potem się dokopią. Trzymałem więc język za zębami.

W kilka minut opróżniona flaszka wylądowała na nieustannie rosnącej stercie swych sióstr strzeżonej przez Anubisa, kiedy załamani Kamieńscy wychodzili z kuchni, aby nasmrodzić cygarami gdziekolwiek indziej, byleby powietrze wokół nie siedziało gęsto nad ich głowami, tak ciężkie i maziste. Z nieliczną grupą wyszedłem na dwór, reszta rozeszła się po licznych pokojach, chcąc uniknąć porannego skwaru. Za stołem został sam Dziadek Tymoteusz, zapewne zrozumiałwszy, że szykowałą się ogromnej skali afera polityczna, i że

jest już na naszą rodzinę za stary.

Trudno było mi docenić świeże powietrze, dopóki nie wyszedłem z jadalni. Stałem sam w zapuszczonym ogródku lekko otępiony od alkoholu i oddychałem, odsuwając od siebie wszelkie myśli. Chłodne podmuchy wiatru muskały wysuszone, przerośnięte krzewy róż, tego lata nie kwitnące tak pięknie, jak jeszcze za czasów rządów Babci — po pogrzebie nikomu nie przyszło do głowy, aby zająć się jej ukochanym ogrodem i pozwolono mu żyć własnym życiem. Od tego czasu wiele roślin poumierało, pozostałe rozrosły się nieprzyzwoicie, tworząc wrażenie pięknego zamieszania, obrzydliwego występkę od porządku, który arbitralnie, wbrew wszelkiej logice cieszył oko. Między kwiaty nie miały wstępu zmartwienia rodowe, zapach trupów powpychanych do szafy i dym piekielnie drogich cygar. Dzieciństwo wracało, niosąc wspomnienia sprzed czasów, gdy pojęcie rodziny zaczęło się komplikować, a uśmiechnięci godnie Kamieńscy odstonili przed młodszym, niewinnym chłopcem prawdziwe oblicza — zepsute, groteskowo powyginane, ropiejące, cuchnące, rozpadające się, topniejące, pływające we własnym łoju i cudzej, nigdy nie krzepnącej krwi. Róże nie wpuszczały do środka potwornych oblicz, zapach zgnilizny przykrywał słodki zapach zacierający w moim umyśle ślad pozostawiony przez pierwsze wrzucane do rzeki ciało, które jeszcze walczyło w worku o płytkie, stęchłe oddechy, choć ojciec zapewniał mnie, że od dawna nie żyje. Nie przepuszczały szalonego obrazu powstałego wówczas w mej głowie chłopięcej, że to ja sam tonę pośród zimnej wody, nie przepuszczały równie chłodnego postanowienia, że nigdy więcej nie wejdem głębiej w interesy Diamentowego Pałacu, które mały chłopiec musiał już jako dorosły mężczyzna coraz częściej łamać. Kwiaty, nawet w swoim żalonym stanie, do pewnego stopnia łagodziły przykre wspomnienia.

Z letargu wyrwał mnie znajomy głos.

— Marek? Jak tam?

Robert podszedł do mnie, ocierając się o rozrośnięty krzew ozdobny. Bordowy garnitur pokrył się nad prawym ramieniem jasnym pyłkiem.

— Dobrze.

Poznałem go pięć lat temu. Pojawił się na pierwszym ze zjazdów tamtego roku jako narzeczony jednej z moich sióstr ciotecznych — Babcia śmiała się, jak to Malina znalazła w Ameryce Polaka i wciągnęła z powrotem do ojczyzny. Na następnym zjeździe pobrali się, na trzecim pojawił się już jako mąż. Zgodnie z wolą Dziadka przybrał nasze nazwisko. Podobnie jak ja, nie miał większego zainteresowania lożą diamentową, z taką jedynie różnicą, że on miał w nią wkład niemalże zerowy, a ja przewijałem się tam całkiem często. Uważał mnie za podobnego sobie — „jedyne normalnego człowieka”, powiadał.

— Dotąd jesteś jedyną osobą, która tak uważa. A mają ci chyba całkiem dużo do zarzucenia.

Robert niemal uśmiechał się. Cała powaga ciężąca nad Kamieniem zdawała się go nie dotykać.

— Nie obchodzi mnie ten Diamentowy Pałac. Mogą rzucać we mnie oskarżeniami.

— A co z resztą?

Zapach róż osłabł.

— Dobrze wiemy, że nie wszystkim uda się wyjść z tej afery cało. Nie martwisz się o nich.

Wiatr wzmógł się, potem nagle ustał. Oczy Roberta świdrowały mi czoło.

— Martwię się. — Odpowiedź zajęła mi dłużej, niż tego bym sobie życzył. — Naprawdę się martwię — dodałem. — A ty?

— Dopóki Malinie nic nie grozi, nie będę się wtrącał.

Z pewnością jedynym powodem, dla którego przyjechał wtedy do Polski, była jego żona. Przez nią Kamieńscy wyciągali dłonie po wpływy aż za ocean, chociaż on tego nie chciał. Stronił od znacznej większości Kamieńskich i gdy tylko nadarzała się okazja, zostawał w domu w Stanach podczas zjazdów, starając się o to, by Malina też została.

— A co u niej? — spytałem z nadzieją na zmianę tematu.

— Ma się dobrze. — Subtelna prognoza uśmiechu widoczna już od jakiegoś czasu na robertowej twarzy spełniła się. — Wysła przed chwilą zająć się dziećmi.

Zazdrościłem mu tego, że udało mu się uciec od interesu i założyć normalną rodzinę. Chociaż z Kamieńskich, jego dzieci nie będą zamartwiać się sceną polityczną, a przynajmniej nie polską. Mieszkali w Nowym Jorku od paru lat.

Obrócił się do krzewu. Gdybym go nie znał, pomyślałbym, że zauważył moje zakłopotanie. Rzadko cokolwiek zauważał.

— To nie był przypadkiem ogród różany? — Wziął między palce gałązkę.

— Był — odpowiedziałem — ale od dawna nikt się nim nie interesował.

— Szkoda.

Tu nasza pierwsza rozmowa się zakończyła. Zaraz po niej zaczęła się druga.

— Piłeś?

— Tylko trochę — odparłem niepewnie. Głos musiał mi się mocno zachwiać, bo naraz Robert skrzywił się lekko.

— Nie widać — orzekł z uśmiechem ponownie na twarzy. — Podszedłbyś ze mną po coś lepszego, ten wasz sznaps mnie wykańcza.

— Nie załapałeś się na gin?

— Nawet na oczy go nie widziałem.

Dołączyła do nas Malina, zostawiwszy dzieci na pastwę losu. Butelki najdroższego chianti z obskurnego sklepiku zbierały kurz przez długi czas, zanim sprzedawczyni w zielonym fartuchu nie podała nam ich z przymrużonymi oczyma. Poznałem ją od razu, ona za to zdawała się żadnego z nas nie poznawać. Szliśmy w milczeniu przez spękany chodnik, otoczeni spękaną ziemią, szkło trzymane w rękach zdawało się spękane. Cały Kamień pękał nam pod stopami.

Ulica główna na ogół świeciła pustkami o każdej porze dnia, tak bardzo, że musieliśmy mrużyć bezustannie oczy. Gospodarstwa, które jeszcze się w okolicy ostały, niewiele różniły się od tych opuszczonych. Cała miejscowość trwała w letnim marazmie. Spalona ziemia, tego roku niezdolna spłodzić niczego, leżała odłogiem. Najbliższa przyszłość tutejszych rolników zapowiadała się marnie.

Parną martwotę przerwała kobieta wychodząca z domu stojącego załóżnie przy drodze. Pomachała w naszym kierunku prawą ręką, lewą trzymała plastikową siatkę.

— Znamy ją? — spytała Malina, odmachując automatycznie.



— Nie — odparłem cicho. — Pierwszy raz widzę.

Podeszła do nas, jakby uradowana zobaczeniem żywej duszy.

— Dzień dobry! — Uśmiechnęła się, prezentując rząd oślepiająco białych zębów.

— Dzień dobry.

Wyciągnąłem, niewiele myśląc, dłoń na powitanie. Kobieta po krótkiej chwili wyciągnęła swoją. Wyglądała na zmartwioną, może lekko podenerwowaną.

— Państwo nie stąd?

— Nie. — Chciałem zaprzeczyć, ale uprzedziła mnie Malina. — Przyjeżdżamy w odwiedziny.

— Do kogo? — Zdobyła się na lekki uśmiech. — Wybaczcie, że pytam.

Zauważyłem dopiero wtedy, że w zielonkawej siatce pływa mleko. Było jeszcze trochę przed południem, mogło być całkiem świeże.

— Do rodziny.

— Tak myślałam, nie ma tu czego szukać. — Obejrzała się za siebie. — Wy też idziecie w tę stronę? Mogłabym się może przyłączyć.

— Pewnie.

Szyjki butelek z każdą minutą robiły się coraz bardziej śliskie.

— Widziałam, jak te wszystkie samochody zjeżdżają pod dworek. Zastanawiałam się, co się dzieje, a to państwo właśnie. — Kobieta szczebiotała radośnie, wymachując siatką tak, by nie uronić kropli na chodnik i prezentując swe zgrabne uzębienie.

— Rzeczywiście, mamy wielu krewnych — odparła Malina, jak zawsze ze spokojem. — A to nie wszyscy.

— Naprawdę? Niesamowite!

Dalej padały krótkie, wyrachowane i jak najbardziej ogólnikowe odpowiedzi na zadawane radosnym głosem pytania. Po pewnym czasie włączyła pozostałych do rozmowy, starałem się zatem iść sposobem Maliny i nie mówić za dużo, to samo dyskretnie sugerując następnemu w kolejce Robertowi. W połowie drogi przekazałem jedną z butelek towarzyszom, drugą chwyciłem przez rękaw bluzy na szyjce i od dołu w obawie, że wyślizgnie się ze spoconej dłoni. Cykl zakończył się pod znajomym ogrodzeniem działki.

— Muszę już iść, tata na mnie czeka. — Dziewczyna pokazała na torebkę z mlekiem. — Zobaczymy się później, mam nadzieję.

Rzuciliśmy jej po jednym „do widzenia”, po czym patrzyliśmy, jak idzie w dół ulicy.

— Dziennikarka. — Stwierdziłem, gdy tylko zniknęła nam z oczu.

— Co? — spytał Robert.

— Dziennikarka. To na pewno nie miejscowa.

— Skąd taki pomysł?

— Zęby. Zbyt zadbane, jak na mieszkankę Kamienia. Najbliższy dentysta ma gabinet w mieście powiatowym i lepiej się od niego trzymać z daleka.

— Ręce — wtrąciła Malina. — Mówiła, że pracowała od rana, a pod paznokciami nie miała ani odrobiny brudu. Chyba nawet była tego świadoma. Widziałeś, jak nie chciała podać Markowi ręki?

— Za mocno się w to wczytujecie, może po prostu poczuła się trochę onieśmielona?  
— zasugerował Robert. — Nie wyglądamy zbyt przyjaźnie.

— Ona za to wygląda za przyjaźnie — kontynuowała. — I zadawała dużo pytań o naszą rodzinę, praktycznie nie wspominając o swojej. Żaden normalny człowiek tak nie robi.

Chwila milczenia. Butelki zaczynały ciążyć mi w dłoniach.

— Czy ona nie wie za dużo? — spytałem.

— Sam fakt, że tu przyjechała akurat teraz, to za dużo. — Spojrzała na mnie. — Powinniśmy coś z tym zrobić.

Robert przystanął kawałek za nami, zbity z tropu.

— Co takiego?

Po raz kolejny wróciłem nad rzekę. Po raz kolejny miałem do niej zrzucić niewygodny bagaż. I tak, po raz kolejny zawiodłem siebie samego.

Dwa studwudziestolitrowe worki na śmieci ledwie wystarczały. Bałem się, że w każdej chwili ciało wyrwie się przez plastik lub — co gorsza — rozłoży się w pośmiertnym spazmie jak scyzoryk. Wyobrażenia podpowiadała najgorsze i najbardziej bizarne ze scenariuszy, każdy równie przerażający, chociaż dla innych z Kamińskich wydające się śmieszne.

Następnego dnia wywózka śmieci, do końca tygodnia żadnego deszczu. Wszystko zapowiadało się dobrze.

Robert stał z boku, uspokajany przez Malinę. Na obojętne oblicze kobiety weszła opiekuńczość żony.

— W co ja się wpakowałem... — powtarzał w kółko — co ja robię... Wy o wszystkim wiedzieliście?...

Ona tylko gładziła jego twarz i całowała rękę.

— Wypadki się zdarzają — powiedziała raz i ani razu więcej.

— Kim wy jesteście...

Anubis przypatrywał się nam ze swego piedestału na płocie. Nie poruszył się, gdy butelki obok worka tłukły się głośno jedna o drugą, nie skomentował też naszych poczynań ani jednym dźwiękiem.



# „Dungeons & Dragons: Złodziejski Honor” - recenzja

Laura Bieroza



Kiedy postanowiłam obejrzeć „Dungeons & Dragons: Złodziejski Honor” (reż. Jonathan Goldstein, John Francis Daley), miałam dość wysokie oczekiwania. Z przyjemnością mogę jednak stwierdzić, że produkcja zdecydowanie je przerosła.

Fabulę dość dobrze oddaje opis dystrybutora kina: „Uroczy złodziejek i banda niepoprawnych poszukiwaczy przygód podejmują się epickiej kradzieży, aby odzyskać zaginiony relikw. Jednak sprawy przybierają niebezpieczny obrót, gdy wpadają w oko niewłaściwym ludziom”. Jest tam pełno zwrotów akcji i ekscytujących sekwencji walk z zapadającą w pamięć choreografią. Wszystkie wątki zostają rozwiązane w sensowny, logiczny sposób, a samo zakończenie w pełni mnie usatysfakcjonowało, co zdarza się dość rzadko. Twórcy nie polegali na typowych dla gatunku kliszach, dzięki czemu historia jest zaskakująca i nieprzewidywalna. Mimo że akcja osadzona jest w uniwersum D&D, spokojnie można wszystko zrozumieć

bez jakiegokolwiek wcześniejszej wiedzy na jego temat.

Pozostałe aspekty filmu, jak gra aktorska, ścieżka dźwiękowa i charakterystyka, są na równie wysokim poziomie. Na szczególną uwagę zasługuje warstwa wizualna: fenomenalne efekty specjalne, a także scenografia i praca kamery. Podczas oglądania zobaczyć możemy wiele naprawdę ład-



<https://fwcdn.pl/fpo/14/95/751495/8056026.3.jpg>  
<https://cdn1.filmozercy.com/uploads/images/original/fqnzrjpxgae66mf-min.jpg>



## Exchange year

**Kamila Perkowska**

I'm currently taking part in the FLEX Programme, which means that I'm spending a full school year in an American High School. I was placed in Hermantown, a small town in the state of Minnesota. The area is absolutely gorgeous! There's a lot of great nature: abundant woods, amazing wildlife, we're also living by one of the largest lakes in the world - Lake Superior. However, the beauty of this state mainly lies in the snowy weather we get - winter lasts for 6 months here!

I got here on August 19th, 2022 and needed to take a few flights to arrive at my final destination. I flew from Warsaw to Frankfurt, from Frankfurt to Washington D.C., then to Chicago and from Chicago finally to Duluth, Minnesota, where my host family picked me up. My host family consists of two of my host parents, two host brothers - one of them is 6, the other one is 3 and a host sister from Germany, who's also doing an exchange program, but she wasn't with us at that point yet because she arrived two weeks after me.

My host family is absolutely amazing. We bonded quickly and got along well the very first second we met. My host parents are open, easy-going, but also really interesting people. My host brothers bring so much joy to our daily life and my host sister has become like an actual sister to me. I could never wish for a better host family.

First weeks in the U.S. were for sure an adjustment to me. I needed to get used to the fact that nobody walks places here because the distance between different locations is huge, so you need to drive to get anywhere. I also needed (even though it hurt a lot) to accept how much plastic is used here. These are rather negative things I had to cope with, but there are also many positive ones, such as... people. Everybody seems open to a conversation. At the beginning of the year, I was always very surprised when so many people I didn't know started a small talk with me and they all seemed so friendly!

After a few days of being here, I joined the cross country running team at our school. I met some great people there and had a lot of fun, even though it was exhausting. Every day we ran from 3 to 9 miles, and then did strides and a workout. During the season my whole body hurt, but I will never forget the feeling of deep satisfaction and happiness I experienced after competing at meets.

Then the school year started. School in the U.S. is much different than in Poland. First of all, many classes are way easier. Some teachers let you use your notes on tests and they also don't give you much homework. The school offers many different classes to choose from. In my first semester I chose Microbiology, Modern Literature, World History, Math, Art, German and Study Hall (it's an hour for you to study and do your homework, so that you don't need to do it at home). I had the most fun in my microbiology class. The only thing we were doing in this class were labs. We investigated how much bacteria there is in different spots at school, what types of bacteria live on our hands and finally collected our DNA to check how closely related we are to each other and prehistoric humans. It was so much fun!

In the second semester I continued attending History, Math, German and Study Hall classes, but then chose a few new ones too: Short Story, Careers in Industry and Environmental Science. If

I had to choose the most interesting out of these classes, my pick would definitely be Careers in Industry. It's an all-female class that teaches girls how to do engineering, woodwork and welding. I've never been a very handy person, so this class was especially good for me to learn some new skills. There's also something very empowering about being a woman who knows how to do woodwork and weld. Girls can do it! In fact, the most gifted welders are usually women!

American schools have amazing school spirit. Students are very proud of being a part of their school and show how dedicated they are by participating in a variety of school activities. A few times a year spirit weeks happen. These are the weeks when the whole school celebrates its school spirit by dressing up according to different themes and fun events, such as pancake breakfast or Pep Fests are also organized during this time. During the school year there are a few school dances being held. In my high school this was the Homecoming, Fall Ball, Sweetheart and Prom dance. For some of them we chose the King and Queen of the dance, just as in American movies.

Winter started in November and until the end of April we hadn't seen the grass. The winter season in Minnesota is absolutely gorgeous. There are huge piles of snow everywhere! We did a lot of fun activities during this snowy season: we went downhill and cross-country skiing, did some snowshoeing and sledding. Together with my friends we also visited many hockey games because Hermantown is known for having an outstandingly good hockey team.

In wintertime I also participated in our school play. This year's performance was "Radium Girls" and I got to play the role of Marie Curie. It was amazing to be able to play the Polish nobelist! In spring I joined the lacrosse team. Lacrosse is a unique sport that comes from the Native American culture and is not very popular, so I'm very grateful for the opportunity to learn how to play it.

Other than experiencing American culture through high school and enjoying the snowy Minnesotan weather, my host family and I also traveled a lot. During my exchange year I visited Chicago, Boston, Washington DC, Minneapolis, Los Angeles, Las Vegas, San Diego and many other places that are less known and located in Minnesota... I could have never wished for a better exchange year.

Pictures:

1. With my host siblings after performing in the spring play
2. In Las Vegas
3. With my friends and the school mascot
4. Nordic skiing with my host sister
5. With my host family in Chicago
6. With friends at a football game
7. In Boston











# „NADZOROWAĆ, KARAĆ” – WIECZNIE ŻYWA FILOZOFIA MICHELA FOUCAULT

Maria Ziemkiewicz

Jednym z najczęstszych zarzutów kierowanych do filozofów przez ludzi, którym ta dziedzina jest daleka, jest jej pozorna nieużyteczność i brak przełożenia na realny świat. Często zagadnienia filozoficzne spływają do czystych spekulacji i tworzenia niepotrzebnego zamieszania wokół spraw, które z perspektywy „zwykłego człowieka” są zupełnie nieistotne. To przekonanie ukuło się na przestrzeni wieków, ponieważ od samego początku historii filozofii była ona zarezerwowana raczej dla małych grup ludzi. Najpierw były to hermetyczne środowiska zwolenników bardzo konkretnych idei, często skupione wokół jednej wybitnej jednostki i rozwijające jej nauki (np. Pitagorejczycy czy Eleaci). Po nastaniu ery Sokratesa, a dokładniej Platona, i założeniu przez niego swojej Akademii, jeszcze mocniej ukonstytuowało się przekonanie o elitarnym charakterze filozofii. Już oficjalnie stała się ona dziedziną wiedzy przeznaczoną dla wąskiego grona najwybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa. Wraz z tym przekonaniem rósł prestiż otaczający tę dyscyplinę i osoby z nią związane, przez co w zasadzie do XIX wieku filozofom nie za bardzo zależało na szerzeniu swoich poglądów wśród ludu. W następnej epoce zamknęła się ona w klasztorach i na uniwersytetach, jeszcze bardziej oddalając od pola zainteresowań większości ludzi. Również przez preferowaną problematykę, która wraz ze zmianą paradygmatu z przyrodoznawczo-metafizycznego na teistyczno-epistemologiczny była coraz bardziej abstrakcyjna, filozofia stała się synonimem wiedzy trudnej i niezrozumiałej, ale też mało przydatnej. Ten stereotyp zaczęto przełamywać dopiero na przełomie XVIII i XIX wieku, kiedy pojawiła się idea filozofii dostępnej dla wszystkich, która będzie edukować ludzi, również w zakresie aksjologicznych podstaw ich praw. Tej idei nie da się oddzielić od początków tego, co nazywamy dzisiaj filozofią lewicową – począwszy od encyklopedystów, poprzez idealistów niemieckich aż do Marksa i jego kontynuatorów, którzy za cel stawiali sobie kształcenie ludu w dogmacie materializmu dialektycznego. Do grona takich filozofów, których myśl skupia się wokół ogólnie pojętego interesu społecznego, z pewnością należy zaliczyć jedno z najgłośniejszych nazwisk w intelektualnym dyskursie XX wieku, czyli Foucault. Rodowód filozoficzny tego myśliciela jest skomplikowany. Najczęściej przez ogólnodostępne encyklopedie i opracowania zaliczany jest do postmodernistów, lub – bardziej precyzyjnie – poststrukturalistów francuskich. Sam jednak, pomimo że sympatyzował z tymi środowiskami, odżegnywał się od takiej etykiety. Chciał, aby ludzie uznawali go przede wszystkim za kontynuatora dzieła Nietzschego. Za życia jednak dużo częściej kojarzony był z innym filozofem – Marksem, co do tej pory rzutuje na recepcję jego koncepcji.

Wydaje się, że wszystkie te powiązania są trafne i w różnym stopniu można je odnajdywać w dorobku Michela Foucault. Jedno jest jednak pewne, że stał się ikoną filozofii lewicowej, a jego myśl jest jedną z najważniejszych podstaw intelektualnych dla współczesnych ruchów lewicowych.

Stało się tak, ponieważ Foucault był pierwszym filozofem, który znaczną część swoich badań poświęcił zagadnieniu **władzy**. Oczywiście ta kwestia interesowała już wcześniejszych filozofów, ale to Foucault stworzył wnikliwą teorię władzy, na podstawie której poddawał krytyce w zasadzie całe życie publiczne. Utworzył nawet termin **metafizyka władzy**, którym opisuje nie tylko samo zjawisko władzy i jego naturę, ale rozciąga jego konsekwencje na całą rzeczywistość, stawiając tezę, że to właśnie dynamika władzy pomiędzy różnymi podmiotami (lud – rząd, profesor – student, czy nawet dziecko – matka)

jest tym, co ją kształtuje. Najważniejszą dla tego zagadnienia pracą Foucault jest głośna książka „Nadzorować, karać – narodziny więzienia”, która pod pozorem naukowej monografii o systemie penitencjarnym, jest także dogłębną, antysystemową krytyką społeczeństwa. Foucault zaczyna bowiem od przybliżenia czytelnikowi historii więziennictwa, aby dojść do smutnego wniosku, że pomimo teoretycznej poprawy warunków życia więźniów (odejścia od kary śmierci, zaprzestania stosowania kar cielesnych, itp.) to współczesny więzień żyje jeszcze gorzej, ponieważ torturowany jest nie batem, lecz nadzorem i karą dyscyplinarną, która w jego filozofii nabiera bardzo konkretnego znaczenia. Odnosi się do jednego z trzech rodzajów władzy opisanych w „Nadzorować, karać”. Pierwszym jest **władza suwerenna**, która zdaniem Foucault charakterystyczna jest dla głębokiej przeszłości, kiedy to wyznacznikiem posiadanej władzy było jedynie terytorium. Troską takiej władzy było bogactwo, a sposobem jej egzekwowania – przemoc. Symbolem takiej władzy w systemie penitencjarnym jest **kaźń** – miejsce cierpień fizycznych, tortur i bolesnej śmierci. Foucault przybliży ją na samym początku książki, za pomocą naturalistycznego opisu egzekucji Roberta-Francois Damiensa. Zestawia go z opisem francuskich więzień z lat trzydziestych, aby na zasadzie kontrastu wzbudzić w odbiorcy (jak później udowodni – fałszywe) przekonanie o poprawie sytuacji. Zaprzestano bowiem tak brutalnego karania więźniów – Foucault zwraca uwagę na to, że wyparły je kary dyscyplinarne. Charakterystyczne dla okresu późniejszego i wciąż obecne we współczesności, związane z **władzą dyscyplinarną**. (*brak orzeczenia*) Ten rodzaj władzy charakteryzuje przywiązanie do ciała więźnia, ale nie na zasadzie fizycznego maltretowania go, tylko eksploataowania. Aparatem opresji z przemocy staje się praca. Jest to jeden z momentów filozofii Foucault, który najmocniej osadzony jest w filozofii Marksowskiej i wiązany z jej ideałami. Francuski filozof przyznaje bowiem rację Marksowi, że alienacja pracownika od produktu jego pracy sama w sobie jest formą pozbawiania wolności. Władza dyscyplinarna skupia się więc na kontrolowaniu ludzi poprzez kontrolowanie ich pracy. Wytwarzanie produktów i kontrolowanie ich dystrybucji, a tym samym kontrolowanie płac ludzi, jest sposobem na panowanie nad nimi. Taka władza, zdaniem Foucault, jest ekonomiczna i utylitarystyczna. Człowiek jest w społeczeństwie dyscyplinarnym postrzegany przez pryzmat swojej produktywności i tego, na ile jest użyteczny. W historii więziennictwa można zobaczyć jego znanie na podstawie wprowadzenia obowiązku pracy do zakładów karnych. Więzień nie cierpi fizycznie, ale zmuszany jest do wykonywania pracy, której produktów nigdy nie zobaczy. Do tego dochodzi kapitalistyczny aspekt konkurencji, który w systemie penitencjarnym stymulowany zostaje przez takie rozwiązania, jak skracanie wyroków dobrze sprawującym się w pracy więźniom, przyznawanie im lepszych cel itp. Cały koncept socjalizacji w więzieniach jest zdaniem Foucault efektem działania władzy dyscyplinarnej, która dąży do ujednoczenia wszystkich poddanych i maksymalnego zwiększenia ich użyteczności. Filozof w tym momencie analizy zwraca czytelnikowi uwagę, że jest to dużo bardziej opresyjna i przebiegła forma władzy, niżli ta suwerenna. Foucault posuwa się dalej w analizie tej dynamiki i stawia smutną, ale trudną do podważenia tezę, że w tym paradygmacie wszyscy jesteśmy więźniami. Do udowodnienia jej sięga po jeszcze jedną kategorię władzy, która dominuje w czasach najnowszych, czyli **biowładzę** – taką, której główną troską jest populacja. Bezpośrednio wywodzi się ona z władzy dyscyplinarnej i przejmuje jej koncentrację na ciele, jednak zamiast pracy, którą można by wiązać z Marksem, Foucault wskazuje w niej na przejęcie aspektu zdrowia, który kojarzymy z Nietzschem. Jak nazwa wskazuje, biowładza wykorzystuje w celach opresji biologiczne aspekty człowieczeństwa. Konsekwencją tego jest zjawisko **bioekonomii**, które zdaniem Foucault przejawia się w takich regulacjach, jak ograniczanie praw do aborcji, ograniczenie dostępu do antykoncepcji czy wszelkie prawa ograniczające wolność seksualną (w tym wiek zgody, którego zniesienie postulował Foucault). Biowładza dąży bowiem do medykalizacji społeczeństwa i znormalizowania go nawet na poziomie podstawowych czynności życiowych. Foucault za

oznaki biowładzy uznawał nie tylko zakazy, ale również nakazy, które zaczęto wprowadzać w społeczeństwie, np. przymus leczenia ludzi chorych psychicznie i uzależnionych. Uważał, że w ten sposób ograniczana jest ich wolność, a instytucje medyczne, szczególnie te związane ze zdrowiem psychicznym, służą do nadzoru. Jako psychiatra z pierwszego wykształcenia, zwracał uwagę na to, jak niejasna jest klasyfikacja wielu schorzeń psychicznych, co pozostawia pole do ogromnych nadużyć, a szpital psychiatryczny uważał za bardziej zdegenerowany wytwór biowładzy niż więzienie. Z powodu niechęci do medycyny, Foucault krytykował także nauki, co spotykało się z dużym niezrozumieniem i do tej pory jest kontrowersyjnym poglądem przypisywanym większości „postmodernistów” filozoficznych. Filozof jednak nie polemizował z samymi odkryciami nauk pozytywnych, ale za szkodliwe uważał dużą część ich skutków, i tę to, jak władza dyscyplinarna oraz biologiczna cynicznie wykorzystują naukę do usprawiedliwiania swoich działań. W społeczeństwie współczesnym często powołanie się na naukę i/lub troskę o dobro i zdrowie populacji wystarcza jako uzasadnienie do odebrania wolności. Z tego powodu Foucault w wielu swoich pracach stawia znak równości pomiędzy władzą a wiedzą i również system dystrybuowania wiedzy, a więc szkolnictwo uznaje za jeden z przejawów władzy. W całości polega ono bowiem na skoszarowaniu dużej grupy ludzi w jednej instytucji (co już niesamowicie ułatwia ich kontrolowanie), która do tego z założenia walczyć będzie z ich indywidualizmem i „normalizować” (w znaczeniu dyscyplinarnym) od najmłodszych lat, w zamian obiecując zdobycie wiedzy, czyli zdobycie władzy. W takim systemie trzeba, więc najpierw pozwolić komuś się więzić, nadzorować i pozostawać w relacji podległości, aby w późniejszym życiu zdobyć możliwość postępowania tak z innymi. Aspektem, który pomaga utrzymać ten system, jest silny ostracyzm społeczny wobec osób, które, dobrowolnie lub nie, nie partycypują w nim. Struktura społeczna przesiąknięta relacjami władzy uniemożliwia takim osobom wiele działań dostępnych dla osób znormalizowanych wcześniej przez system, dlatego ominięcie go graniczy z niemożliwością. Wewnątrz systemu natomiast władza, a wręcz feudalizm, widoczne są na każdym polu. Relacja nauczyciel – uczeń oparta jest na strachu i świadomości ucznia, że jego los zależy od wyżej postawionego człowieka, który może w bezpośredni sposób decydować o jego przyszłości. System klas, do których uczeń jest promowany na podstawie wyników z egzaminów lub ocen, zmusza do ujednorodnienia tempa rozwoju dzieci i ustawienia wśród nich hierarchii tych zdolnych i nie. Odtwarza się także mechanizm dyscyplinarny z więzienia, w którym wyróżniani są najbardziej produktywni w pracy skazańcy, w szkole wyróżniani są najlepiej oceniani uczniowie, co ustanawia relację władzy również pomiędzy samymi uczniami i buduje jakże cenną dla dyscyplinarno-kapitalistycznego społeczeństwa konkurencję i ducha rywalizacji od wczesnego dzieciństwa. Osoby „nienadążające” za systemem karane są nie tylko przez niego samego (do niedawna również fizycznie), ale i ostracyzmem społecznym. Współcześnie zagadnienie szkolnictwa łączy się także z zagadnieniem bioekonomii, ponieważ coraz częściej dzieci są medykaliżowane w celu dostosowania się do systemu szkolnictwa, np. za pomocą leków psychiatrycznych poprawiających ich koncentrację czy opanowanie. Aspekt fizyczny ich egzystencji również pozostaje pod nadzorem, bo oceniana jest nie tylko sprawność intelektualna, ale i fizyczna, a na pierwszym szczeblu edukacji pracownicy szkoły mają nawet dostęp do wiedzy na temat wzrostu i wagi uczniów oraz stanu ich uzębienia. Wszystko to dzieje się w imię zdrowia, nauki i dobra społecznego. Dopóki uczniowie pozostają osobami niepełnoletnimi nawet najbardziej despotyczne ograniczanie podstawowych wolności można uzasadnić dbałością o ich zdrowie i bezpieczeństwo. Szkoła zdaje się więc być, zaraz po więzieniu, najlepszym przykładem na zobrazowanie metafizyki władzy opisywanej przez Foucault w „Nadzorować, karać”.

We wcześniejszej części artykułu mocno skupiłam się na samym karaniu i tym,



jak wygląda ono pod różnymi rodzajami władzy, ale w kontekście przykładu szkoły, szczególnie w obecnych okolicznościach, zasadnym wydaje się powrót do pierwszej części tytułu, czyli nadzoru, bez którego karanie byłoby niemożliwe. Foucault uważa go za jeden z najbardziej podstawowych przejawów władzy i dowodów na to, że w zasadzie społeczeństwo można porównać do jednego wielkiego więzienia, a każdy z nas ma prawo czuć się w nim jak więzień. Dla zobrazowania tego filozof porównuje współczesne społeczeństwo do **panoptikonu** – projektu Jeremiego Benthama, który chociaż nigdy nie został w pełni zrealizowany, uznawany jest za symbol władzy i inwigilacji totalnej, do którego dowoływał się chociażby George Orwell. Panoptikon jest więzieniem, w którym każdy z więźniów może być obserwowany przez jednego człowieka w każdej chwili, ale ze względu na misterną konstrukcję tej budowli, żaden z nich nie wie, kto i kiedy jest obserwowany. Prosty następstwem tego jest to, że każdy zakłada, iż akurat on jest obserwowany i w ten sposób odbiera mu się jakąkolwiek prywatność czy wolność. Więzienie nie jest już tylko miejscem, ale i stanem umysłu, ponieważ poczucie bycia nadzorowanym jest tak naprawdę równoznaczne z nadzorem, czyli pełnią władzy nad każdym, kto jest tam zamknięty. Co ciekawe, sam autor tego pomysłu opublikował go w rozprawie pod tytułem „Panoptikon albo dom nadzoru”, w której przekonywał, że byłaby to idealna budowla do umieszczania w niej: *„wszelkich zakładów, w których wszelkiego rodzaju osoby winny się znajdować pod nadzorem, w szczególności więzień, ale też aresztów, fabryk, warsztatów, przytułków, lazaretów, manufaktur, szpitali, domów wariatów i szkół”*. Wydaje mi się, że Michel Foucault zdawał sobie sprawę z istnienia tych słów, w których twórca panoptikonu jako „domy nadzoru”, których wszystkie żywe elementy należy bez ustanku kontrolować wymienia niemal wszystkie instytucje, które Foucault krytykował. Wymowne wydaje się także to, że jako ostatnio wspomniana została szkoła, a mimo że od śmierci Benthama minęło 191 lat, to zwolennicy jego podejścia do kształcenia i systemu szkolnictwa dalej stanowią większość osób obejmujących decyzyjne stanowiska w organach dystrybucji wiedzy, a Foucault (również nieżyjący od 39 lat) trafnie przewidział, że budowa panoptikonu zawsze uzasadniana będzie dobrem populacji, w szczególności jej zdrowiem i bezpieczeństwem.





Już od dłuższego czasu chciałam przeczytać jakiś kryminał. Niestety nie miałam w domu żadnej książki tego gatunku, a do biblioteki czy księgarni wciąż nie było mi po drodze. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności na urodziny dostałam właśnie powieść kryminalną.

Autorką książki zatytułowanej „I nie było już nikogo” jest sama królowa powieści kryminalnych – Agatha Christie. Kobieta jest najbardziej znaną na świecie pisarką kryminałów oraz najlepiej sprzedającą się autorką wszechczasów. Jej dzieła przetłumaczono na 45 języków obcych.

Akcja utworu rozgrywa się w domu na wyspie, na którą tajemniczy gospodarz zaprasza 10 dziesięć osób, ale sam się nie pojawia. Już niedługo po ich przybyciu do posiadłości dwie z nich giną. Pozostali goście zdają sobie sprawę z tego, że wśród nich jest zabójca. Wspólnie starają się odkryć jego tożsamość, ale jak się okazuje, nikt z nich nie ma alibi. Muszą polegać na pewnego rodzaju zaufaniu. Jednak, jak można zaufać nowopoznanej osobie mogącej być okazać się mordercą? Sytuacja jest tym bardziej napięta, iż mroczna przeszłość każdego z gości zostaje ujawniona. Są odizolowani od społeczeństwa. Nie mają jak opuścić wyspy. Umierają po kolei w sposób opisany w rymowance wywieszanej w ich pokojach.

Powieść zdecydowanie przypadła mi do gustu. Mimo iż od początku znałam los ofiar, czytałam książkę z zapartym tchem. Każda chwila, w której musiałam przerwać tę czynność, była nie do zniesienia. Cały czas starałam się domyślić, kto jest mordercą. Brałam pod uwagę wypowiedzi wszystkich bohaterów i ich zachowania, ale nie byłam w stanie tego odgadnąć. W pewnym momencie wręcz walczyłam z samą sobą, żeby nie zajrzeć na ostatnią stronę, by poznać rozwiązanie zagadki. Powieść zdecydowanie jest jedną z najciekawszych pozycji, jakie ostatnio czytałam. Jestem pewna, że w najbliższym czasie sięgnę po kolejne dzieło Agathy Christie.



<https://s.lubimyczytac.pl/upload/books/4971000/4971805/906906-352x500.jpg>



# Wiosna

Laura Bieroza









## Moje Miasto

Anonim

W moim mieście, gdzie powietrze jest toksyczne  
gdzie każda najmniejsza rana pozostawia krwawą bliznę  
A te większe w ogóle się nie goją co noc tamci posypują na mnie solą  
chcielibyśmy podjąć walkę, kiedy łamią nam sumienia  
podnieść rękę co związana, aby bronić swego mienia  
jednak strach paraliż mocny  
wpędza nas w wir obaw nocnych  
co zostanie, gdy przegramy, jak pogłębiam nasze rany  
czy zabiorą nam istnienia czy upodlał nas i teraz  
więc czekamy aż ktoś bitwę wygra z myślą swą gonitwę  
mówiąc co stracimy, gdy przegramy  
przecież tylko honor  
Marne nasze jest istnienie  
gdy upadnie nasze plemię  
odejdziemy w zapomnienie  
tak jak nasz ból i cierpienie



## Nadzieja umiera ostatnia

Laura Bieroza

„Nadzieja umiera ostatnia”  
A jednak leży przed nami  
W trumnie kłamstw i cynizmu  
Pod płytą nagrobną apatii  
Ukrytą pod wieńcami  
Kwiatów nienawiści



**Nadia Dagon**

## **Kwiat**

Kiedyś dzień dnia myślałem o tobie,  
O srebrnych twych oczach i włosach złotawych,  
Lecz i ty również myślałaś o sobie.  
Widziałem to w oczach. Spojrzeniu niemrawym.

Szukałem ja kwiatu koloru twych ust,  
Różę wybrałem, lecz z myślami się gryzę,  
Bo nie wiem czy będę ją tobie niósł  
Skoro wybrałaś bycie narcyzem.



**Nadia Dagon**

## **To wiek XXI**

Miłości dziś nie ma – nie pojmuję tego,  
Ludzie zgubili ją w poprzedniej epoce,  
Teraz zamiast błdzić w oczach kochanego,  
Nos wsadzą w telefon okrywając się kocem.  
Gdzie spacerować za rękę o słońca zachodzie?  
Gdzie pisanych listów zakopano stosy?  
Gdzie popłynęły te wianki na wodzie?  
Tylko łzy widzę, jak kropelki rosy...

Wiek dwudziesty zakończył żywot miłości,  
Zadźgał ją nożem i spalił w ognisku  
I choć ludzie młodzi wciąż pragną bliskości,  
To zostawiają uczucia na wysypisku  
Poprzednich epok...





# Rzymianie i Grecjanie

Karina Szutko

Rzymianie i Grecjanie  
Jedno siedzi, drugie stanie  
Wychodzą z jednego łona  
Które jako pierwsze skona?

Wraz ze świtem zbudził się grecka filozofia błysk  
Kreatywność, dzieło sztuki, rzeźba z brązu, czysty zysk  
Lecz na horyzoncie czarne pojawiają się sceny  
Jedno serce, dwie rodziny, oto Sparta i Ateny

Uskrzydleni Ci Grecjanie  
Z marzeń swoje ślą postanie  
I w rydwanie jadą lasem  
Ciągłe ścigając się z czasem

A nawiasem uwielbiają tworzyć bogów olimpijskich  
I historie z tym związane, temat zawsze im jest bliski  
Zeus, Posejdon i Hades, satyrowie i centaury  
A Orfeusz swą melodią doda im magicznej aury  
Tak Grecjanie żyją snując wizje o czerwonym  
Niebie

Lecz wtem nowe słońce wschodzi  
Ród Rzymianinów się rodzi  
Zagarniają wszystkie ziemie  
Z Grecjan czyniąc swoje cienie

Co podpatrzą, stopią, skradną, pojawia się problem kopii  
Potem impreza do rana w termach, złocie i konopi  
Tak rozrasta się cesarstwo aż po same świata końce

Inspiracja Grecjanami, ciągle wydają pieniądze

Lecz choć społeczeństwo męzne

I imperium tak potężne

Grecjan nigdy nie dościgną

I wnet tak jak oni znikną

Wszystkie dzieła powtórzyli, lecz wciąż czegoś im brakuje

Drogi, miasta, akwedukty, nie chce zniknąć więc buduje

Racjonalnie jest genialnie, lecz nie wszystko można siłą

Krzyk fałszywy kiedyś się udławi winoroślą zgniłą

Lecz ostatnia z myśli będzie o igrzyskach i o

Chlebie

Jedni chcą tylko przebicia

Drudzy wciąż nowe odkrycia Liczne akty, kontraposty

Tamci zaś budują mosty

Porównania wciąż się snują poprzez wszystkie pokolenia

Strony czasu zakreślone ludziom nie dają wytchnienia

Choć z pozoru tak podobni, całkiem różnią się od siebie

Mimo tej zacieklej walki zawsze wesprą się w potrzebie

Gdyż nie ma Greków bez Rzymian

Ani Rzymianów bez Grecjan

Taki już nasz los braciszku

Pora nalać po kieliszku

Wiem że gdy zabłądzą w noc podłego życia ciemną

To zatrzymasz się w półkroku i upadniesz razem ze mną

Nas rozdzielić nie da rady, pisane jest nam grać razem

Więzi co nas łączą trwale pozwolą nam wygrać z czasem

Wszystkie drogi prowadzą do

Ciebie



# Paryż oczami Zamoyszcza

**Przemysław Dylak  
i Marcei Rusin**

**PD:** Słyszałem, że w tę majówkę poleciałeś do Paryża. Czy mógłbyś coś o tym opowiedzieć?

**MR:** Tak, zarówno w czasie weekendu majowego, jak i następujących po nim dniach wolnych związanych z maturami, byłem w Paryżu przez 8 dni. Moje odczucia po wyjeździe są bardzo niejednoznaczne. Mieszają się w mojej głowie plusy i minusy tego „Miasta Miłości”.

**PD:** Co rozumiesz poprzez sformułowanie „niejednoznaczne”?

**MR:** Rozumiem przez ten wyraz pewną prawidłowość zauważoną przeze mnie w Paryżu. Chodzi mi o to, że w każdym plusie, który dostrzegałem, od razu rzucał mi się w oczy mniejszy lub większy minus danego aspektu miasta i, aby nie być gołosłownym, przytoczę w tym momencie pewien przykład – budowa metra. Samo paryskie metro jest bardzo dobrze rozbudowaną siecią połączeń, której możliwości komunikacyjne potęgują liczne przejścia podziemne z metra do np. kolei RER, czyli takich polskich kolei dojazdowych. Nie są to nadal wszystkie zalety, wymienić należy również takie plusy, jak choćby: 14 linii metra pozwalających na dojazd praktycznie wszędzie, wygodne przejścia podziemne zapewniające bezpieczeństwo w czasie przesiadek, wysoka częstotliwość kursowania pociągów i sam fakt, że ja, będąc praktycznie gdziekolwiek, mogłem w ciągu paru minut znaleźć się na stacji.

**PD:** Brzmi to pięknie. Gdzie w tym są te wady?

**MR:** Pod piękną przykrywką naprawdę wygodnego i funkcjonalnego metra, kryje się wiele minusów, niepozwalających na jednoznaczne wypowiedzenie się pozytywnie na temat metra w Paryżu. Bardzo brzydki i odrażający wręcz miejscami zapach jest tylko czubkiem góry lodowej! W stosunkowo wąskich tunelach między stacjami różnych linii często mogłem zobaczyć wielu śpiących bezdomnych (możliwe, że jest to spowodowane zaniedbaniami w polityce państwa), a dodatkowo widać było, że wielu z tych bezdomnych mieszka już w tych podziemiach na stałe. Kolejnym mankamentem była ciągła dbałość o to, aby w pociągu nikt nie wyjął mi nic z plecaka. Problem ordynarnych złodziei i kieszonkowców został dostrzeżony w Francji nawet przez państwo, gdyż na stacjach o większej płynności ludzi, lektor w wagonie zawiadamiał o potrzebie uwagi na takowe osoby. Problemem, którego państwo nie dostrzega najwyraźniej w pełni, jest za to kwestia nie dostosowania w sumie niczego, co pod ziemią do potrzeb osób starszych i niepełnosprawnych - ogólnie osoby z ograniczonymi możliwościami komunikacyjnymi. Wejścia do metra „z ulicy” pozbawione były wind, a kręte i długie tunele często miały wiele półpięter, na które należało wchodzić po schodach. Oczywiście taki stan rzeczy jest związany z tym, że paryskie metro jest po prostu bardzo stare, ale jednak mam nadzieję, iż kwestia poprawy dostępności dojazdów dla osób starszych i niepełnosprawnych będzie sprawą priorytetową.

**PD:** Jak rozumiem taki tok rozumowania polegający na wymienianiu plusów i minusów, można zastosować to większej liczby sfer życia w Paryżu niż metro?

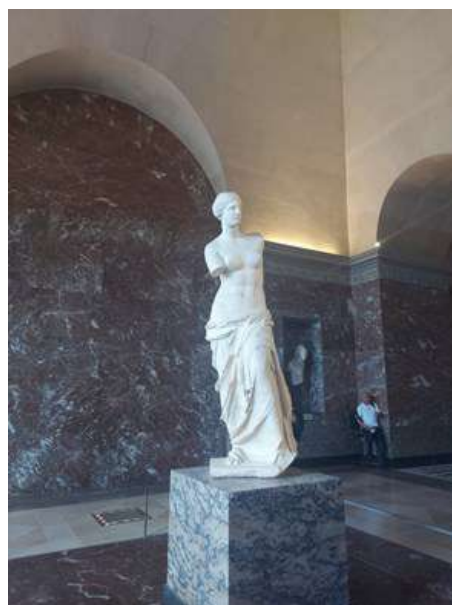
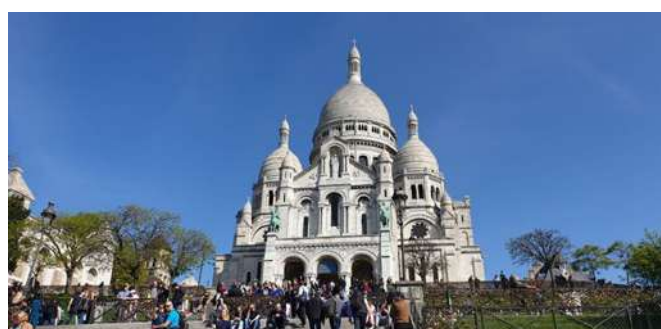
**MR:** Zdecydowanie tak! Przykład? Architektura mieszkalna – z jednej strony piękne stare kamienice, a z drugiej strony nieprzystosowanie pod współczesne normy, zaniedbane elewacje budynków itd. Takie myślenie w przypadku Paryża można odnieść prawie do wszystkiego. Nic tam nie jest czarno-białe i tak samo moja opinia nie jest czarno-biała.

PD: Na koniec pytanie: czy jest coś, co cię autentycznie zachwyciło w stolicy Francji?

MR: Tak, jest jedno takie miejsce. Zachwyciła mnie górująca nad całym Paryżem, biała bazylika Sacre-Coeur, znajdująca się na Montmartre w osiemnastej dzielnicy. Zachęcam każdego do odwiedzenia tego pięknego kościoła. Jest to szczególne uczucie przebywać w nim, ponieważ jest on wybudowany w stylu bizantyjskim – nieczęsto zobaczyć można katolicki kościół w takim stylu.

PD: Na pewno zobaczę, gdy tylko polecę do Paryża. Dziękuję za rozmowę.

MR: Dziękuję tobie, Przemku, i wszystkim możliwym czytelnikom







## Paryż - myśli nieograniczone

Aleksandra Szlachciak



## Maria Rzewuska



Maryna



## SKŁADNIKI NA CIASTO:

- ◆ 200g mąki pszennej
- ◆ Sok z 2 cytryn
- ◆ 120g oleju
- ◆ 4 jajka
- ◆ 2 łyżeczki proszku do pieczenia
- ◆ 100g cukru

## SKŁADNIKI NA KRUSZONKĘ

- ◆ 70g zimnego masła
- ◆ 120g mąki pszennej
- ◆ 50g cukru
- ◆ Skórka z 2 cytryn

## MUFFINY CYTRYNOWE

**I**  
Obierz cytryny ze skórki. Zagnieć masło, mąkę, cukier i skórkę na jednolitą masę, a następnie zetrzyj ją na średnich oczkach tarki. Wstaw do lodówki.

**II**  
Wyciśnij sok z użytych wcześniej cytryn. Następnie rozdziel białka od żółtek. Białka ubijaj powoli dodając cukier. Następnie zmniejsz obroty miksera do najniższych i dodawaj po jednym żółtku. Potem do masy dołóż sok z cytryny i olej, Na koniec dodaj mąkę oraz proszek do pieczenia i wymieszaj wszystko szpatułką.

**III**  
Masę przelej do papilotek, a ich wierzch posyp kruszonką.

**IV**  
Piecz przez 20 minut w 180 stopniach Celsjusza.

## CIASTECZKA CZEKOLADOWE

## SKŁADNIKI NA CIASTECZKA

- ◆ 200g zimnego masła
- ◆ 100g cukru
- ◆ 2 jajka
- ◆ 1/2 łyżeczki proszku do pieczenia
- ◆ 400g mąki pszennej
- ◆ 3 tabliczki mlecznej lub gorzkiej czekolady

**I**  
Zimne masło, jajka, proszek do pieczenia oraz mąkę zagnieć na jednolitą masę.

**II**  
Tabliczki czekolady pokrój na drobną kostkę. Następnie dodaj ją do masy i dokładnie wszystko wymieszaj. Wstaw na pół godziny do lodówki.

**III**  
Rozłóż papier do pieczenia na blaszce. Ulep z masy średniej wielkości kuleczki, które ułóż na papierze i dociśnij, tak aby się spłaszczyły.

**IV**  
Piecz przez 12 minut w 180 stopniach Celsjusza.





## Nadzieja umiera ostatnia?

Maria Jechna

# ŁASUCH

## SEZON 2

Netflix opublikował niedawno drugi sezon serialu „Łasuch”, na który fani długo czekali. Jest w nim ukazany dystopijny świat, w którym w wyniku szerzącej się zarazy nie rodzą się już zwykli ludzie, lecz hybrydy – istoty mające cechy wspólne człowieka i zwierzęcia. Jednak ten artykuł nie ma być recenzją serialu, a pochyleniem się nad jednym z problemów, które ukazuje.

W świecie przedstawionym nie istnieje właściwie żaden porządek społeczny, gdyż przetrwało niewielu ludzi. Społeczeństwa i rodziny ulegają zniszczeniu. Najmłodszy, zwykły homo sapiens, są nastolatkami wychowującymi się często samotnie, bez rodziców, zmuszonymi do nauki walki, by przetrwać. Ich sytuacja skłoniła mnie do refleksji: skoro nie mogą być pewni swojej przyszłości, nie mają oparcia w teraźniejszości i nie zaznali bez troski w przeszłości, to co napędza ich do działania? Co sprawia, że nie stwierdzą: „to bez sensu, równie dobrze mogę umrzeć”?

Można łatwo zauważyć, że opisane wyżej realia nie są wyjątkowe – podobny obraz świata znajdziemy nie tylko w wielu innych książkach i filmach, ale także w historii.



Dobrym przykładem może być II wojna światowa i Holocaust, kiedy z pewnością wielu nie liczyło na lepsze czasy. Straciło nadzieję. Ale zarówno w świecie fikcyjnym, jak i prawdziwym, po pewnym czasie sytuacja się poprawia. Droga do pokonania zła jest trudna, okupiona cierpieniem, poświęceniem, ofiarami. Kluczowa jest w niej jednak nadzieja. Bez niej los zostałby zaakceptowany, więc nie byłoby po co walczyć.

Wracając do pytania o motywacje buntowników, mogę chyba powiedzieć, że są one unikalne dla każdej jednostki. Niektórzy walczą dla idei, inni o przyszłość swoją lub swoich bliskich. Ale wspólne jest dla wszystkich podłoże siły do działania: nadzieja, że można coś zmienić. Nadzieja jest naturalna i w każdym znajduje się nawet jej najmniejszy skrawek.

Mówi się, że nadzieja umiera ostatnia. Chcę jednak zadać pytanie: czy na pewno? Czy ona umiera kiedykolwiek? Nawet gdyby dystopijny tyran pokonał wszystkich buntowników, to nie ma pewności, że nie narodzą się kolejni. Nadzieja jest zawsze. Można powiedzieć, że umrze dopiero wraz z ostatnią istotą na świecie – ale wtedy nie będzie już nikogo, kto powie, że nadzieja umarła.

[https://sm.ign.com/t/ign\\_pl/screenshots/default/obraz-2023-04-17-185530877\\_nwac.1280.jpg](https://sm.ign.com/t/ign_pl/screenshots/default/obraz-2023-04-17-185530877_nwac.1280.jpg)  
[https://assets.gadgets360cdn.com/pricee/assets/product/202206/sweet-tooth-2-poster\\_1654797385.jpg](https://assets.gadgets360cdn.com/pricee/assets/product/202206/sweet-tooth-2-poster_1654797385.jpg)



Byli sobie czterej przyjaciele, każdy z innego królestwa. Wszystko dobrze się układało, każdy z nich żył w dostatku, a ich rodziny żyły w zgodzie. Wszystko na świecie działo się pomyślnie. Plony co roku były wydajne, nikt nie umierał z powodu chorób ani z głodu. Każdy żył w pokoju i w dostatku.

Aż nadszedł ten jeden dzień. Na cały świat przyszła niespodziewana klęska. W każdym z czterech zakątków świata nastąpiła inna katastrofa żywiołowa. W Fertilli – na północy – w krainie żyznych gleb, przyszła susza; w Shenshui – na wschodzie – w krainie wielu oceanów, przyszła powódź; w Montagnii – na południu – w krainie wysokich gór, wybuchnął wulkan i spadło wiele lawin; w Izocie – na zachodzie – w krainie kryształów, przyszła gwałtowna zima.

W tym okresie rodziny czwórki przyjaciół bardzo osłabły z sił. Po kilku latach, gdy ludzie zaczęli się przyzwyczajać do nowych warunków, na środek ziem Montagnii spadł wielki meteoryt, który sprowadził na świat jeszcze więcej klęsk. Jedną z nich było pojawienie się plagi demonów, które wyszły z meteorytu. Nazwano miejsce jego upadku Mojia lub inaczej – Królestwo demonów.

Przez wiele miesięcy walczono z potworami, lecz nikt nie mógł ich pokonać, ponieważ, gdy kogoś zabijały, on stawał się jednym z nich. Aż czwórka przyjaciół zebrała się, trenowała i wymyślała, jak skończyć plagę. Podczas jednego z treningów po kolei odkrywały wielkie moce. Dziewczynka z Fertilli potrafiła kontrolować życie roślin, chłopiec z Montagnii był w stanie poruszać ziemią, dziewczynka z Shenshui potrafiła kontrolować wodę, natomiast chłopiec z Izoty opanował lód.

Cała czwórka stanęła razem, by walczyć z demonami. Walki trwały przez kilka miesięcy, lecz wreszcie dobiegły końca i udało się uwięzić monstra w Mojii. Nie zdołano w pełni ich pokonać, ponieważ była to klątwa, która otrzymał cały świat.

Po wygranej bitwie przyjaciele stali się władcami czterech krain. Świętowano przez kilka tygodni i czas ten ogłoszono świętem i na cześć pokonania demonów w bitwie nazwano Shengli.

Każdy się cieszył z wygranej bitwy, lecz to nie był koniec.





# 20 BARDZO CIEKAWYCH FAKTÓW O WYDRACH

Maria Rzewuska

Wydry to bardzo urokliwe stworzenia, o słodkim wyglądzie i ciekawym charakterze. Ostatnio zaczęłam się interesować ich trybem życia. Zebrałam więc kilka ciekawostek, które mam nadzieję, że Cię czymś zaskoczą.

1. Są różne odmiany wydr. Jedna z nich – wydra morska, zwana inaczej kałanem morskim, jest najcięższym przedstawicielem łasicowatych, a mimo to jednym z najmniejszych ssaków morskich.
2. Możliwe, że nie spodziewałaś się tego że wydra morska potrafi używać narzędzi, a dokładnie kamienia którymi posługują się m.in., aby rozłupywać twarde muszle i pancerze innych skorupiaków. Chowają je do „kieszzeni” – specjalnej fałdy skórnej.
3. Wydry mają najgęstsze futro ze wszystkich zwierząt. Jest to ich podstawowa izolacja przed niskimi temperaturami.
4. Dojrzewają płciowo po 2 lub 3 latach. Żyją 10 – 15 lat.



5. Wydry spędzają w wodzie niemal całe życie. Jedynie od czasu do czasu wychodzą na ląd odpocząć w słońcu na skalistych wybrzeżach, noce jednak spędzają w morzu.

6. W trakcie snu wydry trzymają się za łapki, aby nie odpłynąć od reszty stada.

7. Niektóre źródła podają, że już od razu po urodzeniu oczy wydry są otwarte, widoczne jest dziesięć zębów, a szczenię ma grubą warstwę sierści.

8. W wierzeniach Ainów wy-

dra była posłańcem między ludźmi a ich stwórcą. Natomiast u Aleutów krążyły legendy o zropaczonych kobietach, które w morzu zmieniały się w wydry.

9. Podczas polowań matka pozostawia swoje szczenię dryfujące na wodzie. Czasami owija je w wodorosty, by nie odpłynęło.
10. Gdy są syte, dla zabawy potrafią nadal wyławiać i zabijać ryby, rozrzucając ich niedojedzone resztki w otoczeniu stawu.
11. W Polsce nie występuje na wolności wydra morska, a jedynie wydra europejska. Oswojoną wydrę zwaną Robakiem opisał w swoich pamiętnikach Jan Chryzostom Pasek.
12. Wydry żywią się głównie rybami, ale zdarza im się również polować na ptaki, żaby i gryzonie.



13. Gdy cała rzeka zamarźnie, wydra potrafi się przegryźć nawet przez pół metra lodu, aby móc wychodzić i wchodzić do wody.
14. Najdłużej żyjącą wydrą była samica z amerykańskiego akwarium w Seattle, która dożyła aż 28 lat.
15. Wydry mają bardzo dobry wzrok, dlatego polowanie po zmroku nie stanowi dla nich żadnego problemu.
16. Palce wydry połączone są specjalną błoną, tworząc coś na kształt naturalnej płetwy.
17. Wydry nie mają naturalnego wroga wśród zwierząt, ale istnieje wiele innych czynników, które mają negatywny wpływ na ich życie. Jednym z nich jest na przykład rosnący poziom zanieczyszczenia wód, który wyjątkowo wpływa na żywotność wydr.
18. Wydry uwielbiają się kąpać. Zimą potrafią spędzać całe godziny, ślizgając się po pokrytych lodem wzniesieniach i nie przeszkadza im, że robią to w samotności.
19. Wydry mogą osiągnąć nawet ponad 100 cm długości i wagę 40 kg.
20. Krzysztof Wydra zwyciężył 17 odcinek 91 edycji „Jeden z dziesięciu”.



#### Źródła:

- <https://www.national-geographic.pl/artukul/wydra-morska-ciekawostki-wystepowanie-i-ochrona-tego-zagrozonego-gatunku>
- <https://www.google.com/search?q=wydry+biebrza&oq=wydry+biebrza&aqs=chrome..69i57j33i160l3.2834j0j15&sourceid=chrome&ie=UTF-8#fpstate=ive&vld=cid:8c9b532e.vid:ipJzNLWW5A>
- [https://pl.wikipedia.org/wiki/Ka%C5%82an\\_morski](https://pl.wikipedia.org/wiki/Ka%C5%82an_morski)
- [https://pl.wikipedia.org/wiki/Wydra\\_europejska](https://pl.wikipedia.org/wiki/Wydra_europejska)
- <https://podroztrwa.pl/wydra/>
- <https://fajnepodroze.pl/10-zaskakujacych-ciekawostek-o-wydrach/>

# Złote usta



UWAGA! UWAGA! Szanowni Państwo, mam zaszczyt ogłosić, że konkurs na tytuł Króla Złotych Ust a.d. 2022/2023 decyzją 39,9% ankietowanych wygrywa... (fanfary i bardzo głośne brawa poproszę!) Pan Profesor Przemysław Poniatowski!!! Serdecznie gratulujemy Zwycięzcy ironicznego i inteligentnego poczucia humoru oraz ciętego języka na najwyższym poziomie!



## Przypomnijmy...



„Ooo headshoty: piu piu piu, ja jestem dobry w counter - strike.”

P. Prof. Poniatowski

„Mam 3 blondynki teraz chcę brunetkę, takiej nie mam w kolekcji.”

P. Prof. Poniatowski

„Ja jestem silnym mężczyzną, bo mogę kobietę utrzymać i jeszcze czym innym uraczyć, bo jestem taki chłop.”

P. Prof. Przemysław Poniatowski

„Równouprawnienie—8 marca—Dzień Kobiet—się pań nie pyta,

10 marca—dzień czterdziestu męczenników i się panów pyta”

P. Prof. Poniatowski

„Kobieta podczas nocy poślubnej ma zamknąć oczy i myśleć o mocy imperium brytyjskiego, a mężczyzna robi resztę.”

P. Prof. Poniatowski

„Głupota ludzka jest jak miłosierdzie boskie - nieograniczona.”

P. Prof. Poniatowski

„Proszę sobie nie zawracać głowy przedmiotami tytułu pomocnicze historii.”

P. Prof. Poniatowski

„Nie jest z ograniczeniem wiekowym, to chyba nie ten film.”

P. Prof. Poniatowski





„Kobieta podczas nocy poślubnej ma zamknąć oczy i myśleć o mocy imperium brytyjskiego, a mężczyzna zrobi resztę.”

P. Prof. Poniatowski

„Jak się wprowadzi socjalizm na Saharze, to po roku będzie trzeba piach importować.”

P. Prof. Poniatowski

„W latach 90. przez chwilę byłem milionerem, wygrałem 50 tysięcy na loterii - to fajnie brzmi teraz.”

P. Prof. Poniatowski

„A Pan to sobie postanowił wymienić żonę na młodszy model.”

P. Prof. Poniatowski

„Zielone ludziki z Marsa tu wleciały, zabiły tego człowieka i wyleciały, a teraz prokurator musi udowodnić, że to ja.”

P. Prof. Poniatowski o zawodzie prokuratora